

NOVAE RES

D a w i d W a s z a k

C Z E R W I E Ń
O B Ł Ę D U

zobacz jak rodzi się
obłąd

Dawid Waszak

CZERWIEN OBŁĘDU



NOVAE RES

Spis treści

1. Déjà vu po raz pierwszy

2. Wizje i dziki seks

3. Kobieta w czerwonej sukience

4. W objęciach obłądu

5. Wizja musi się spełnić!

Zbrodnia

1

Déjà vu po raz pierwszy

Od zawsze mieszkałem w Jarocinie i chyba do końca życia będę tam mieszkał. W średniej wielkości mieście, rockiem pisanym, idealnym dla młodej generacji, dla buntowników, ludzi trzymających swoje życie mocno w garści tak, aby nie stracić z niego ani minuty. Mieście, w którym rozpoczęła się oficjalna walka o wolność. Walka słowami, wykrzykiwanymi w rytm najlepszej punkrockowej muzyki. Mieście, którego nazwa wywoływała w całej Polsce uśmiech i szacunek, jakby mieszkańcy innych miejscowości zazdrościli nam takiej historii. Na pewno gdy już poznacie mnie lepiej, będzie wam trudno w pewne rzeczy uwierzyć. Najśmieszniejsze jest to, iż byłem pewien, że nigdy się nie zmienię, ale gdy dorosłem, moje wartości są już inne.

Szaleńczą młodość zamieniłem na ułożoną „starość”. Nie miałem już ochoty pić, bawić się, śpiewać. Zamiast tego wolałem zająć się moją rodziną, zapewnić jej dobry byt i spokojne życie. Zadziwiające, jak z biegiem czasu człowiek może się zmienić, chociaż wydaje mi się, że zawsze byłem

romantykiem. Jeśli chodzi o sprawy miłosne - moją największą wadę - to bałem się zagadać do kobiety. Byłem pewien, że nie dam rady nikogo poderwać. Mogę sobie tłumaczyć, że może dlatego chciałem być punkiem i udawać twardziela. Być może w ten sposób ukrywałem swoją słabość, ale gdy poznałem tę jedyną, miłość wzięła górę.

Mężczyzna średniej budowy ciała, w wieku trzydziestu dwóch lat. W miarę wysoki (trochę ponad metr osiemdziesiąt), średnio długie włosy, zawsze ułożone. Musiał sprawiać wrażenie taktownego i dokładnego. Tego wymagała jego praca. Najczęściej odziany w koszulę bądź marynarkę (nigdy obie naraz), do tego spodnie dżinsowe i półbuty, czarne rzecz jasna. Na ręce Rollex, nie był najnowszy, ale liczy się firma. Mimo że obowiązki wymagały siedzenia całymi dniami przed komputerem, nie potrzebował okularów. Praca nie do końca była dla niego zadowalająca - oczekiwała, by stał się człowiekiem, którym tak naprawdę nie był. Fakt, zgadza się, był pedantyczny, ale jeśli chodzi o resztę, był zupełnie kimś innym. Tak, to mowa o mnie! Zmieniłem się, prawda? Skórę zrzuciłem jakieś trzynaście lat temu. Podobnie jak nieład na głowie. Nie popadłem w paranoję, nie miałem zamiaru chodzić ciągle w garniturze, wolałem styl bardziej luźny, ale praca to nie wakacje. Każdy musi wybrać: albo pieniądze, albo zachowanie. Wiecie, co ja wybrałem? Zresztą każdy by to wybrał dla rodziny. Po to się uczyłem, aby zapewnić jej byt, chociaż nie tak to sobie wyobrażałem. Zawsze chciałem jeździć po miastach, spotykać się z ciekawymi ludźmi,

poszerzać krąg znajomych, nawet igrzać ze śmiercią, pluć jej w twarz, dlatego poszedłem na studia dziennikarskie.

Pamiętam to podekscytowanie, gdy zaczynałem zajęcia, które jednak w czasie ich trwania szybko opadało. W teorii wszystko było super, ale później zaczynały się nudne wykłady, które niewiele miały wspólnego z dziennikarstwem. Jakoś udało mi się wytrzymać. Po ukończeniu studiów dostałem dobrą posadę i robiłem to, co lubię. Byłem specjalistą do spraw promocji firmy zajmującej się utylizacją odpadów. Tak właśnie, siedzę tam do dzisiaj, zamiast spełniać marzenia, ale rodzina oczywiście wszystko mi rekompensuje. Fakt, że ją uszczęśliwiam, był dla mnie największym darem, nie zawahałbym się oddać za nią życia. Nie piję, to znaczy nie nadużywam alkoholu. Czasem zdarza mi się wypić jednego drinka, jednak wolę nie niszczyć sobie zdrowia. Zamiast tego - przyznam się - jestem uzależniony od kawy, wypijam jej hektolitry. Może wam się to wydawać śmieszne, że nie piję zbyt często alkoholu, bo dbam o zdrowie, ale kofeiną się nie przejmuję... No cóż... Ludzie (łącznie ze mną) to idioci, każdy ma jakąś słabość. Ja z dwojga złego wolałem kawę, po niej nie robi się głupich rzeczy. W trakcie dnia potrafiłem wypić siedem filiżanek (choć czasem zdarzało się więcej). Muszę tu znowu rzucić winę na moją pracę - gdyby nie ona, wypijałbym ich znacznie mniej. Staralem się nawet rzucić kawę, wychodziło mi to przez... - niech pomyślę... - pełne dwa dni! Gdy jednak cała kofeina ze mnie zesza, byłem do niczego, jak alkoholik na kacu, jak ćpun na głodzie.

Syndrom odstawienia dawał mi się mocno we znaki. Nie byłem w stanie niczego zrobić, tylko spać, spać i nic poza tym. Czasem brałem również tabletki. Zwykle, przeciwbólowe. Zapisał mi je lekarz rodzinny. Jakaś nowość, która czyniła cuda. Tylko one pomagały mi na migrenę.

Nie byłem nerwowym człowiekiem, wołałem wszystkie zgrzyty wyjaśnić ze spokojem, bez zbędnych krzyków. Niestety, bywają sytuacje, w których po prostu się nie da. Ale o takich opowiem wam później.

Dzień zaczął się normalnie. Obudziła mnie żona tak, jak to zwykła robić - pocałunkiem w policzek. Miała na sobie koronkowe bokserki, które nie zakrywały prawie niczego, do tego zwiewną koszulkę z jakimś misiakiem lub serduszkim na środku. Takich zestawów miała kilka, a każdy równie seksowny. Zawsze, gdy tak odchodziła, miałem ochotę zatrzymać ją siłą i wziąć byle gdzie, żeby była znowu moja. Trudno powiedzieć, co tak naprawdę na mnie działało... Ten tyłek, którym ponętnie kręciła, oddalając się ode mnie, ten uśmiech, którym mnie obdarowywała, obracając się przed wyjściem z sypialni, czy może ten seks, który towarzyszył nam wieczorami. Nie umiem tego wytłumaczyć, ale chyba działało na mnie wszystko naraz.

Byłem szczęściarzem, miałem piękną żonę, znacznie powyżej moich progów, i sam nie wiem, jak to się stało. Szczupła blondynka, o którą walczył w szkole każdy

nastolatek. Wiem, bo byłem jednym z nich. Miałem o tyle lepiej, że męczyłem ją również na lekcjach. Chodziliśmy razem do podstawówki, bawiliśmy się razem w piaskownicy. Nie musieliśmy zmieniać szkoły, chodziliśmy do jednej z większych, w której było wszystko. Gdy pomyślę, w jaki sposób ją zagadywałem... aż sam się dziwię, że była chętna do rozmowy ze mną. Byłem szczeniakiem i sam do końca nie wiedziałem, jak się za to zabrać. Staralem się o jej względy jakieś pół roku (z przerwami oczywiście). Moje szanse znacznie wzrastały po każdym jej rozstaniu z chłopakiem. Wtedy właśnie, załamana, musiała walczyć z bólem w sercu po nieudanej miłości. Takie szanse miałem dwie. Po pierwszej dałem dupy, bałem się zrobić ten krok, po którym przeszedłbym na stronę tych fajnych chłopaków, którzy mają dziewczyny, tych bezdziewicowców. Wyprzedził mnie wtedy Franek, ten Franek z drużyny, na pewno go znacie! Zrobił ten krok, na który brakowało mi odwagi. Za drugim razem nie byłem już taki głupi, kochałem się w niej bardzo długo, więc nie mogłem zmarnować drugiej szansy.

Włosy miała długie, a grzywkę w stylu emo (chyba tak to się teraz nazywa). Ogromne oczy sprawiały, że każdy w nich tonął. Miała idealną cerę z jedną skazą. Był to pieprzyk, który dodawał jej tylko uroku. Po trzynastu latach nic się nie zmieniła, no może doszło jej jedynie kilka zmarszczek, ale nie przeszkadzało mi to. Nie chcę, abyście pomyśleli, że chwale się swoją żoną, ale każdy, kto miałby przy sobie kogoś takiego, z pewnością by się chwalił! Jej uśmiech był najpiękniejszy. Wtedy jej kości policzkowe aż

promieniały. Mrużyła przy tym delikatnie oczy, dzięki czemu wyglądała niewinnie. Uwielbiałem ten widok, gdy budziła mnie i wychodziła z sypialni. Obracała się na chwilę tak, jakby chciała sprawdzić, czy jeszcze leżę. Mogłem wtedy chwilę popatrzeć na jej tyłek, gdy otwierała szafę, wyciągając szlafroczek. Pamiętam do tej pory, jak koledzy gratulowali mi dziewczyny, zapewniając przy tym, że długo ten związek nie potrwa. Przyznajcie się... wy też byście tak powiedzieli? W końcu rzadko się zdarza, żeby szkolne miłości przetrwały dorastanie. Ja uważam, że każda może przetrwać, trzeba ją tylko naprawiać, a nie wyrzucać przy drobnej usterce.

Wracając do tematu... Wychodząc, zawsze dawała mi chwilę spokoju, wiedziała, że lubię poleżeć w ciszy. Ona natomiast w tym czasie budziła Kacpra, naszego synka, który w tym roku zaczął już chodzić do szkoły.

Miał sześć lat. Drobnny chłopak, którego - niestety - rozpieszczaliśmy. Niestety... bo już się do tego przyzwyczaił. Blondyn ze średniej długości włosami. Był ładny po mamie. Całe szczęście, bo gdyby był podobny do mnie, nie wyglądałby za ciekawie. Miał niebieskie oczy i usta przypominające Kevina ze świątecznego filmu. Najczęściej nosił koszulę w kratkę (oczywiście nie tę samą codziennie) i džinsy. Szkoda mi było, że to taki delikatny chłopak. Byłem pewien, że w szkole będzie miał przejebane, rówieśnicy dadzą mu w kość. Można było powiedzieć, że miał duszę artysty. Zamiast bawić się zabawkami, wolał rysować. Jak na ten wiek, wychodziło mu to zadziwiająco

dobrze. Chociaż przyznam, że czasem przyprawiał mnie o gęsią skórkę na plecach. Kiedy brał ołówek, był jak w transie, nie zwracał uwagi na nic.

Każdego poranka potrzebowałem chwili, aby dojść do siebie. Przecierałem oczy, myśląc o pracy. Czekał mnie ciężki dzień. O godzinie jedenastej mieliśmy spotkanie w sprawie premii. Dla kogoś z zewnątrz mogłoby się wydawać, że to nic takiego – miłe spotkanie w sprawie dodatkowej kasy. Zaczynając tam pracę, cieszyłem się, gdy usłyszałem o pierwszym takim zebraniu. Rozmowa o premii? – zajebiście, pomyślałem.

Możecie pomyśleć, że z biegiem czasu zdiagnozowałem, że zrobił się ze mnie stary grzyb, przesiąknięty już tymi wszystkimi pieniędzmi. Nic bardziej mylnego. Właśnie tam stałem się bardziej ludzki niż kiedykolwiek; najwidoczniej nie miałem tak twardej dupy jak myślałem. Firma, na pierwszy rzut oka, wydawała się w porządku, ale w rzeczywistości utworzyły się w niej dwie grupy. Jedna z nich (ta starsza) walczyła z tą drugą o miejsce w szeregu. Dlatego też zacząłem, a raczej starałem się, pomagać tym, którzy pracowali tam krócej. Krótka mówiąc, chodziło o pieniądze. Dlatego właśnie co jakiś czas miało miejsce takie spotkanie. Teraz, leżąc na łóżku, zastanawiałem się, komu tym razem nie będzie pasowała czyjaś wypłata. Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie nasza dawna kadrowa, która nie ukrywała przed nikim premii kolegów.

Położyłem ręce za głowę i zaciągnąłem się świeżym powietrzem. Uwielbiam ten zapach i szum drzew na podwórku. Każdego poranka przez jakieś dziesięć minut wpatrywałem się w okno. To mnie uspokajało i przygotowywało na wojnę w pracy. Mówiłem już wam, czym się zajmowałem? Byłem tym gościem, który zwykle załatwia sprawy promocji firmy, zajmuje się organizacją festynów itp. Z pracą u mnie bywało różnie. Czasem miałem jej aż tyle, że nie wiedziałem, w co mam ręce włożyć, a czasami musiałem jej szukać, aby się nie zanudzić. Jednak przez kilka ostatnich dni bardziej wchodziła w grę ta druga opcja.

Uwielbiam ułożenie i punktualność, dlatego właśnie u nas w domu tak to funkcjonowało. Mogłem sobie spokojnie leżeć, drzemać czy myśleć o pracy jeszcze kilka minut, lecz kiedy usłyszałem tupot stóp, rozlegający się po całym domu, wiedziałem, że pora już wstać. Moim zdaniem rodzina to najlepszy budzik. Po biegach Kacpra wiedziałem, że mam dwadzieścia minut, aby przygotować się do śniadania.

Wstając, przetrąłem jeszcze raz oczy i pościeliłem łóżko. Rozejrzałem się dookoła, aby zapamiętać widok mojej oazy spokoju na dłużej. Wyglądało to wszystko tak, jak sobie kiedyś wymarzyłem. Nie miałem zbyt wielu mebli, bardziej podobała mi się prostota, niż zagracone niepotrzebnymi przedmiotami pokoje. Duża sypialnia z centralnie umieszczonym łóżem z metalową ramą na

środku. Osobiście wolałem obite skórą, ale żona się uparła, więc nie miałem nic do gadania. Namówiła mnie dosyć łatwo, obiecując, że będziemy się do niego przykuwać podczas seksu. Brzmi to trochę perwersyjnie, ale tak właśnie ma brzmieć. Ściany pokoju pokryte były białą farbą, co sprawiało, że wydawał się większy. Jedna z nich prawie w całości była oszklona, dwuipółmetrowe okno dawało wrażenie połączenia z ogrodem. Zależało mi na tym, zawsze od rana chciałem widzieć go z łóżka. Zasłona zakrywała całe okno, a gdy było delikatnie uchylone, powiewała, rozpraszając świeże powietrze po całej sypialni. Po prawej stronie łóżka mieliśmy jeszcze ciemną (tak dla kontrastu) trzydrzwiową szafę, która w zupełności nam wystarczała. Nie potrzebowaliśmy żadnej komody, dodatkowej szafki czy innych półek. Chwila... zapomniałem chyba o stolikach nocnych, które stały łóżka. Nie mogliśmy ich do niego dopasować, więc dobraliśmy je do szafy. Jak to w sypialniach bywa, mieliśmy również telewizor, z którego zresztą rzadko korzystaliśmy. Trochę niewygodnie się go oglądało (z powodu okna nie mieliśmy gdzie go wstawić), był w narożniku po lewej stronie, tuż obok drzwi.

Zatrzymałem się przy drzwiach, przypominając sobie o otwartym oknie. Dobrze pamiętam, tego dnia miało padać. Wróciłem więc, aby je zamknąć, zresztą zamykałem je każdego poranka. Straciłem na to kilka sekund mojego napiętego harmonogramu, więc szybszym krokiem poszedłem do łazienki. Gdyby jeszcze coś poszło nie tak, mógłbym nie zdążyć do pracy.

Łazienka była przeciwieństwem naszej sypialni. Ciemny kolor płytek był złym wyborem, cholernie było widać zacieki. Nie byliśmy w stanie utrzymać długo czystości. Przypuszczam, że ustawienie łazienki mieliśmy takie, jak dziewięćdziesiąt procent ludzi - bardzo mała klinka zagracona wanną, umywalką, muszlą itd. Przydałoby się jakieś drugie pomieszczenie, bo nawet nie mieliśmy jak się obrócić. Budując dom, nie zwróciliśmy na to uwagi. Napaleni projektem, chcieliśmy wszystko szybko ukończyć. Takie są skutki, ale spokojnie, do łazienek w wagonach PKP było nam jeszcze daleko.

Stanąłem przed lustrem i jeszcze raz przetrarłem „śpiochy”. Obmyłem twarz zimną wodą i sięgnąłem po szampon do włosów. Nałożyłem niewielką ilość na głowę, zostawiłem na trzy do pięciu minut i zająłem się pozbyciem włosów z nosa. Zacisnąłem przy tym pięć razy żuchwę. Miałem tik, którego nie mogłem się pozbyć. Ciężko było mi wytłumaczyć dlaczego, chyba przez strach przed czymś i/lub bólem. Tak mi się wydaje. W końcu depilacja włosków boli nieziemsko, ale jestem twardzielem, więc dałem radę. Po spłukaniu szamponu z włosów zabrałem się za golenie. Zawsze goliłem się w ten sam sposób. Nakładałem piankę i zaczynałem od wąsa, później brałem się za boki, następnie brodę, na końcu goliłem szyję. Tak też zrobiłem w tym przypadku. Starąłem się ogolić w miarę szybko, aby nadrobić stracone sekundy. Miałem dobry czas, gdy kończyłem golić szyję. Tylko ostatnie pociągnięcie i...

- Kochanie!!! Śniadanie!! Chodź już na dół...

Obracając nerwowo głowę w stronę kuchni, zaciąłem się maszynką. - Cholera - wydusiłem. Tego dnia śniadanie było szybciej. Wystarczyło kilka sekund, aby zaburzyć mój poranek. Zmrużyłem oczy, zaciskając na ranie papier toaletowy. Krwawiło jak cholera... Próbowałem zatamować krew, wymieniając co chwilę kawałki papieru. Spojrzałem w lustro i przełknąłem nerwowo ślinę, zaciskając pięciokrotnie żuchwę. Czułem, jakby łazienka zaczęła wirować, a ja słabnąć.

Gdy otworzyłem oczy, znów... stałem w pokoju, patrząc na otwarte okno.

- Co jest, kurwa... - pomyślałem, spoglądając na zegarek. Było dziesięć minut wcześniej. Spojrzałem na łóżko, było już pościelone. Poszedłem zamknąć okno. Déjà vu? Jeszcze nigdy się tak nie czułem. Puls zwolnił mi na tyle, że nie był wyczuwalny, mimo to słyszałem go bez problemu. Ręce zrobiły mi się ciężkie, czułem, jak blednę. Stałem jeszcze na chwilę tuż przed oknem, zastanawiając się, co jest grane.

Jeden - zamknąłem oczy, zaciskając żuchwę.

Dwa - otworzyłem oczy.

Trzy - okno było nadal otwarte.

Cztery - stałem nieogarnięty, jakbym dopiero wstał z łóżka.

Pięć... ostatni raz zacisnąłem żuchwę.

Mój tik pozwolił mi zebrać myśli. Czasami miewałem déjà vu (chyba jak każdy), ale nigdy nie było ono takie długie i tak realistyczne. Umysł zaczął mi chyba płatać figle przez przemęczenie. Poszedłem zamknąć okno, po czym szybkim krokiem udałem się do łazienki. Nie miałem złego czasu, wystarczyło się w miarę ogarnąć i wziąć śniadanie na drogę. Spojrzałem w lustro, ocierając resztki „śpiochów” z oczu. Chociaż byłem przekonany, że to przez przemęczenie, to i tak czułem się niepewnie. Nigdy czegoś takiego nie doznałem. Spojrzałem ponownie w lustro, zaciskając zuchwę pięciokrotnie. Umysł płata mi figle, śpiący byłem, to dlatego – starałem się sobie ponownie wytłumaczyć. Jedni mają zaniki pamięci, inni się jękają, a ja mam coś takiego.

Nałożyłem niewielką ilość szamponu na głowę i zająłem się włosami w nosie. Po trzech lub pięciu minutach spłukałem włosy i zabrałem się za golenie. Nałożyłem piankę na twarz i sięgnąłem po maszynkę jednorazową. Po trzecim goleniu zrobiła się już trochę tępa, ale byłem wytrwały. No cóż... może kiedyś będę taki bogaty, żeby golić się nią tylko raz. Jak na razie cała kasa poszła na budowę domu, na golenie zabrakło. Zająłem się w pierwszej kolejności – jak zwykłem to robić – wąsem. Goląc kolejne fragmenty twarzy, byłem coraz bardziej czujny. Nasłuchiwałem wołania lub innych tego typu dźwięków. Pozostał mi ostatni fragment szyi. Zamarłem na chwilę z maszynką przy gardle, czekając, kiedy żona zawoła mnie na śniadanie. Czekałem tak kilka sekund i... i cisza!

Uśmiechnąłem się do odbicia w lustrze, uświadamiając sobie swoją głupotę. Dotknąłem maszynką szyi.

- Kochanie!!! Śniadanie!! Chodź już na dół...

Obracając nerwowo głowę w stronę kuchni, zaciąłem się maszynką.

- Kurwa! Znowu! - wykrzyknąłem, zakrywając ranę ręką. To jakiś żart? Co tu się dzieje?!

Sięgnąłem po papier toaletowy i szybko wyszedłem na korytarz sprawdzić, czy czasem żona nie czekała na moment, kiedy przyłożę maszynkę do szyi. Korytarz był pusty. Wróciłem do łazienki i stojąc przez chwilę przy lustrze, zastanawiałem się, czy to, co przed chwilą miało miejsce, nie jest moim wymysłem. Czy stałoby się to samo, gdybym nie czekał, aż mnie zawoła, tylko od razu skończył? Całe szczęście, że maszynka nie była nowa i nie wykrwawiłem się, ale to chyba już wiecie. W końcu jeszcze piszę. Poprzedniego wieczora położyłem się późno spać, może byłem po prostu zmęczony? Chociaż i tak nie trzymałoby się to wszystko kupy. Włączyłem radio, które stało na komodzie obok lustra. Wiedziałem, że uspokoi mnie to chociaż trochę. Wziąłem głęboki wdech przez nos, zamykając delikatnie oczy. Słyszałem, że to pomaga się uspokoić. Zresztą gównie prawdziwa, wcale nie czułem się po tym lepiej. Miałem już i tak spore opóźnienie.

Zamknąłem drzwi łazienki, na korytarzu roznosił się już śmiech Kacpra. To był jego pierwszy rok w szkole i był z tego bardzo dumny. Chwalił się, że jest już dorosły. Miał

sześć lat i cały czas powtarzał, że chce być taki, jak jego tata.

Z łazienki można było się szybko przedostać na dół. Raptem po czterech metrach były już schody, przy których zwykłem stać jeszcze kilka sekund, aby napawać się widokiem mojej żony zasiadającej już w szlafroku do stołu. Wyglądała wtedy tak seksownie. Satynowy, czerwony szlafroczek, który nie był w stanie zakryć nawet kolan, pobudzał mnie niezmiernie. Spoglądała wtedy na mnie, uśmiechając się i odgarniając grzywkę z oczu.

Tego dnia było jednak inaczej. Ledwo wyrabiając na zakręcie, zbiegłem na dół, nie patrząc, czy coś stoi mi na przeszkodzie. Amelia od razu zauważyła, że jestem jakiś nieswój.

- Coś się stało? - zapytała, wpatrując się w moje oczy.

Na początku nic nie odpowiedziałem. Przełknąłem ślinę, uśmiechając się do niej. Wiedziałem, że i tak nie uniknę tematu. Musiałem z nią o tym porozmawiać, ale jakoś nie miałem ochoty od rana.

- Kochanie, nic ci nie jest? - zapytała ponownie, nie odpuszczając.

- Yyy... nie, chyba nic. Miałem po prostu bardzo dziwne déjà vu, ale już jest w porządku.

- Wyglądasz jakoś inaczej. Praca daje ci w kość?

- Wszystko jest dobrze, zaraz dojdę do siebie - uspokoiłem żonę. - Przepraszam, ale muszę już lecieć do pracy, jestem spóźniony. Zjem coś po drodze.

- Na pewno wszystko jest dobrze?

- Tak, na pewno, muszę już naprawdę lecieć, porozmawiamy wieczorem.

Zawsze mogłem liczyć na Amelię. Wiedziała, co zrobić, abym zapomniał o problemach, ale co jej miałem powiedzieć? Sami byście nie wiedzieli. Nie oceniacie mnie... i tak miałem wyrzuty, że ją tak spławiłem. Po południu miałem więcej czasu, mogłem ze spokojem jej powiedzieć, co jest nie tak. Wziąłem kanapkę na drogę i żegnając pocałunkiem w czoło Kacpra, a Amelię w usta, wyruszyłem do pracy. Chciałbym wam powiedzieć, że miałem porsche, ale niestety nie. Musiał mi wystarczyć jedynie stary, czerwony volkswagen, który jeździł jak on chciał, a nie ja. Nawet kolor nie był taki czerwony, jak powinien. Czas i słońce postanowiły go trochę zmienić. Do pracy nie miałem daleko. Dzielilo mnie od niej jakieś dziesięć minut przez miasto. Rano nie było korków, gorzej było już po pracy. Musiałem wjechać na drogę krajową, gdzie po piętnastej szybciej byłoby iść pieszo.

Do spotkania miałem jeszcze trzy godziny. Atmosfera była na razie do przeżycia. Otworzyłem drzwi z tabliczką Dorian Zajda (dla tych, którzy jeszcze nie wiedzą, o mnie mowa). Niewiele było u nas miejsca, więc trafiło mi się biuro bez okien, które kiedyś było magazynkiem na szczotki. Nie było małe, dawniej mieściło się tu wiadro z mopem, trzy lub cztery miotły (dokładnie nie wiem, bo zacząłem tu pracować po przerobieniu tego pomieszczenia na biuro),

karton z ręczniczkami, mydła i odświeżacze powietrza. Znalazło się tu nawet miejsce na szafkę dla sprzątaczk. Nikt, oprócz tej osoby, nie miał tam wejścia. Uznali jednak, że dadzą jej coś mniejszego, a tu zrobią schowek dla nowego biurowego.

Żeby było trochę jaśniej, jedną ścianę wymienili na szybę, przez którą widziałem korytarz. Tłumaczyłem sobie, że zawsze mogło być gorzej, ale zastanówmy się... yyy... Nie mogło być gorzej. Chociaż pensja była dobra. Miałem tam trochę spokoju, nie miewałem zbyt wielu gości, być może przez smród. Nie waliło tam gnojem, potem czy tego typu zapachami, po prostu w pokoju nie było czym oddychać. Starąłem się nieco podratować sytuację nawilżaczem powietrza, ale przeszkadzał w pracy, trochę buczał. Robiłem wszystko, aby w moim biurze był porządek. Jedna szafa, komoda i biurko, nic nadzwyczajnego. Ściany pomalowane na żółto. Nie wiem, kto dobierał kolory, ale najprawdopodobniej miał zjebany gust. Naprawiłem to jedną dużą tablicą korkową, na której miałem trochę informacji dotyczących różnych terminów, kalendarz, rozpiski koncertów i różne mniej ważne rzeczy.

To był spokojny dzień, byłem do przodu z pracą, nie musiałem się z niczym śpieszyć. Szczerze mówiąc, sam nie wiedziałem, co tego dnia miałem ze sobą zrobić. Przyszło mi do głowy, że może wreszcie zacznę pisać książkę (nie tę, którą teraz czytacie). W końcu zawsze o tym marzyłem, a nigdy nie mogłem się za to zabrać. Mówią, że początek

jest najgorszy, jeśli się już zacznie, to jakoś pójdzie. OK... skoro tak mówią... Kilka razy próbowałem, lecz po napisaniu dwóch, trzech zdań dawałem sobie spokój. Może to za mało, żeby wystartować, nie wiem, nie znam się. Jak można stwierdzić po kilku pierwszych zdaniach, czy temat jest w ogóle dobry? Czy można to stwierdzić po połowie? Ciężko jest to ocenić nawet po całej książce. Trzeba ją po prostu napisać i trzymać kciuki, modlić się, czy kto tam co woli, żeby czytelnikom się spodobała. Kurwa, trochę zboczyłem z tematu, no i przepraszam za przekleństwo. W domu nie powinienem, a gdzieś muszę czasem odreagować. Zwykle nie klnę.

Wracając do tematu... spróbowałem. Szło mi nieźle, dosyć szybko udało mi się ponumerować strony.

Nie wiedząc jeszcze, o czym moja książka będzie, zacząłem pisać pierwsze zdanie. Zakończyłem je jak każdy zwykły to robić – kropką, a potem zmieniłem je jeszcze kilka razy. Każdy pomysł na pierwsze zdanie wydawał mi się lepszy od poprzedniego. – Jak to zacząć? – pomyślałem. Nie miałem tak jasnego umysłu, jaki chciałbym mieć. Chociaż byłem spokojny, jeszcze trochę chodził mi po głowie ten incydent z maszynką. Może dlatego postanowiłem opisać swój poranek. Poszło mi dosyć szybko. Przyjąłem takie tempo, że pisząc dłużej, zagrzałbym klawisze laptopa, ale na szczęście (dla klawiszy), kończąc wątek poranka, temat się urwał... Napisałem raptem pół strony, a tu totalna pustka. Miało być lepiej, tymczasem nic, nie miałem

pomysłu, co dalej. Za co ja się zabieram? Sława pisarza mi się marzy...

- Zebranie - wykrzyczała Aneta, otwierając drzwi mojego biura.

Czas zleciał mi bardzo szybko. - Już ta godzina? - pomyślałem. Zapisałem ponumerowane strony na komputerze (żeby nie zaczynać od nowa) i poszedłem za koleżanką. W sali konferencyjnej byli już wszyscy. Czekali tylko na mnie. Gdy znalazłem swoje miejsce, prezes, który nie wiedział do końca, po co zorganizowane jest to spotkanie, zapytał wprost.

- Co znowu? O co chodzi?

Początkowo zapadła głucha cisza, ale tylko początkowo. Po kilku sekundach rozpętała się burza. Każdy na każdego rzucał gromami, a ja - zamiast przyporządkować się do stada - stałem i niemal rzygałem tą pracą. Pokój był duży, każdy mógł się wygodnie rozsiąść i rozmawiać o tym, jak podnieść budżet firmy, co zrobić, aby zatrudnić więcej pracowników, ale po co? Zamiast tego wszyscy rzucali się sobie do gardeł. Było jak w dżungli. Nie chcielibyście być na moim miejscu. Kochałem spokój, ciszę, a w pracy trzeba było walczyć o każdą złotówkę.

Ty chuju!!! Pojebie!!! Złodzieju!!! To było zwyczajne słownictwo, nikt nic już sobie z tego nie robił. Była jednak zasada, której nikt nie łamał. Nigdy nie dochodziło do rękoczynów. Każdy pod każdą dołki kopał, ale nawet dla nas bójki były przesadą. Każda grupa (o których już mówiłem) była słuszniejsza od drugiej. Tak też było na tym

spotkaniu. Współpracownicy (wraz ze mną) ustawili się jak na polu bitwy. Oddzielał ich jedynie stół konferencyjny i prezes, który próbował wszystkich uspokoić. A pomyśleć, że zaczęło się od premii dla jednej grupy. Drugi obóz dowiedział się o tym i przeklął stronnictwą kadrową, która chciała chyba tylko skłócić wszystkich i wynosić dane z firmy. Dlatego została zwolniona. Szkoda tylko, że tak późno.

Zresztą to już zupełnie inna historia. Wracając do kłótni... Zauważyłem, że kilka osób zaczyna wpadać w szał, jakby dla nich liczyły się tylko pieniądze i nic poza tym. Taka zresztą była mentalność drugiej grupy. Dla niektórych pieniądze są najważniejsze, więc stawiają je na piedestale i całą resztę mają głęboko w..., no wiecie gdzie. Klóćąc się już małą chwilę, jedna z kobiet nie wytrzymała. W furii chwyciła składane krzesło, stojące najbliżej, i rzuciła w stronę swojej „koleżanki” z przeciwnego obozu. Nasza przyjaciółka zdążyła się uchylić przed rzutem. Dostała jednak z nogi w głowę i padła na ziemię.

Krzesło zostało rzucone z takim impetem, że mimo uderzenia w pracownika, zatrzymało się dopiero na szafie, która stała za mną. Potem nastąpiła cisza. Ze strachu, a może z powodu resztek człowieczeństwa, wszyscy rzucili się na pomoc koleżance, dlatego właśnie nikt nie zauważył, że szafa, po uderzeniu o ścianę, zaczęła się przewracać. Obróciłem się dopiero wtedy, gdy uderzyła mnie pierwsza nagroda, która się z niej zsunęła. Zakreśliło mi się w głowie, a z czoła zaczęła się sączyć krew, zalewając delikatnie

brew, potem oko, w końcu spływała mi po policzku. To były sekundy, ale mnie wydawały się minutami. Dokładnie czułem, jak czerwony gęsty płyn pokonuje centymetry mojej twarzy, sprawiając, że robiłem się coraz słabszy. Kiedy krew doszła już do szyi, poczułem szum w uszach.

- Uważaj!!!

Usłyszałem histeryczny krzyk kogoś z sali. Byłem tak otumaniony, że nie wiedziałem, co się dzieje. Następna statuetka, która wypadła, otworzyła szklane drzwiczki i przeleciała tuż obok mojej szyi. Mogła we mnie trafić. Przy odrobinie szczęścia straciłbym przytomność i nie czułbym, co było dalej. Drzwi się otworzyły i skierowały na mnie. Dziwne jest to, jak dokładnie wszystko pamiętam. Szkło rozbiło się na moim ramieniu, rozcinając mi skórę, a ja padłem pod naciskiem szafy. Moje powieki robiły się coraz cięższe, traciłem siły, ale nie poddawałem się. Starąłem się podnieść mebel. Im więcej wysiłku w to wkładałem, tym więcej krwi widziałem. Traciłem jej coraz więcej. Słyszałem jakiś szum... Przypuszczam, że były to głosy pracowników. Zamknąłem oczy... Czy umarłem? Czytacie to, więc chyba nie.

Otworzyłem oczy, biorąc głęboki wdech, jakbym nie oddychał z tydzień. Łapiąc się czego popadnie, krztusiłem się śliną. Nic mnie nie bolało, jakbym zmartwychwstał. Zacisnąłem zuchwę pięciokrotnie, wpatrując się w komputer. Była za pięć jedenasta, a ja siedziałem ze strasznym mrowieniem ręki. - Co się dzieje? - pomyślałem,

łapiąc się za ramię, w którym pięć sekund wcześniej była przecięta tętnica.

Spanikowany, próbując wstać, przypadkiem przewróciłem się razem z fotelem. - To niemożliwe! - krzyknąłem, ściągając koszulę, aby sprawdzić, czy na pewno z moją ręką wszystko w porządku. Nie miałem nawet zadrapania. - Znowu déjà vu? - zadałem sobie pytanie, ponownie zaciskając żuchwę. - To niemożliwe, wszystko było takie realistyczne - mówiłem do siebie, chowając się pod biurkiem, jakby ktoś czyhał na moje życie. A jeśli to się sprawdzi? Ściskając ramię, zbierałem siły, żeby wstać. Najpierw ustawiłem fotel na swoim miejscu, dając sobie więcej czasu i łapiąc się go z łamliwym oddechem, starałem się podnieść. Założyłem koszulę.

Siedziałem wpatrzony w komputer i zastanawiałem się, kto zawoła mnie na spotkanie. Miałem nadzieję, że to nie będzie Aneta. - Jeśli to będzie ona, nie pójdę - wmawiałem sobie. Po prostu nie dam rady, poszedłbym na pewną śmierć. A jeśli to tylko moje urojone filmy? Nie pójdę i stracę pracę... Ja pierdołę, niech mnie ktoś obudzi - mówiłem, bijąc się po twarzy.

Ruszyłem myszką od komputera, aby znikł wygaszacz ekranu. Zauważyłem otwarty jakiś plik tekstowy. On nie mógł być mój, skończyłem na numeracji stron, a tam było sporo tekstu.

Zacisnąłem żuchwę pięć razy.

Zacząłem mówić do siebie jakimiś półsłówkami, których sam nie rozumiałem. To jedyne, co mogłem z siebie

UważajUważajUważajUważajUważajUważajUważaj
UważajUważajUważajUważajUważajUważajUważaj
UważajUważajUważajUważajUważajUważajUważaj
UważajUważajUważajUważajUważajUważajUważaj
UważajUważajUważajUważajUważajUważajUważaj
UważajUważajUważajUważajUważajUważajUważaj
UważajUważajUważajUważajUważajUważajUważaj
UważajUważajUważajUważajUważajUważajUważaj
UważajUważajUważajUważajUważajUważajUważaj
UważajUważajUważajUważajUważajUważajUważaj
UważajUważajUważajUważajUważajUważajUważaj...

Oczy mi się zaszklily. - Co się kurwa ze mną dzieje? - zapytałem, obracając się dookoła. Chciałem sprawdzić, czy może kogoś ze mną nie ma. Byłem już całkiem zdezorientowany. Wpatrzony w monitor, czekałem jak na wyrok, kto mnie zawoła na spotkanie. To wszystko zaczęło mi przypominać jakiś film. Klamka od drzwi mojego biura zaczęła się uginać. Wiedziałem, że to był ktoś z naszych. Gdyby nie, na pewno by zapukał. Słyszałem, jak uszczelka wklejona pomiędzy futrynę a drzwi zaczyna przepuszczać światło, wydaje wtedy taki specyficzny dźwięk odklejanej taśmy. Najpierw zauważyłem dłoń, zaraz po niej ukazała się głowa.

- Zebranie! - wykrzyczała Aneta, otwierając drzwi mojego biura.

- Kurwa - powiedziałem ponownie. Jakbym od pięciu minut nie znał innego słowa. Chyba faktycznie coś jest ze mną nie tak! Przetarłem oczy, zaciskając pięciokrotnie

żuchwę, po czym wstałem... Szedłem na spotkanie jak na wyrok. Wszystko wyglądało jak w mojej wizji. To chyba nazywa się *déjà vu*, tak mi się wydaje. Szedłem za nią w ciszy. Każde słowo, jakie przychodziło mi do głowy, wydawało się bezsensowne. To tak, jakbym chciał jednym słowem wyrazić wszystko. Pożegnać się, powiedzieć coś miłego, podziękować za całe życie. Tak się po prostu nie da.

Sala konferencyjna była bardzo blisko mojego biura. Wychodząc z niego, skręciłem w lewo i raptem po dwóch metrach miałem przed sobą drzwi. Ukazywały wielkość naszej firmy. Było w nich kilka zdobień, ale bez przesady. Wykonane były tak, aby pokazać naszą majestatyczność. Osoby wchodzące na konferencje od razu wiedziały, że mają do czynienia z kimś, kto jest w stanie osiągnąć wszystko (o to właśnie chodziło). Środek wyglądał jeszcze lepiej. Nie było tam zbyt dużo przedmiotów, prezes postanowił umieścić ich tam jak najmniej. Pokój wydawał się wtedy większy. Duży stół mierzył pięć metrów. Brązowy kolos ze szklanym blatem, na który – wydawałoby się – stracono majątek. Dookoła niego, w równym szeregu, stały krzesła, pasujące wzniosłością do stołu.

Nad nim wisiał żyrandol niczym z pałacowego salonu. Oprócz tego była tylko jedna, ale jakże potężna, szafa w połowie oszklona, aby pokazać wszystkim nagrody, jakie otrzymała nasza zacna firma. Druga połowa ukrywała segregatory z dokumentacją. To była właśnie ta szafa, przed którą stałem i stoję teraz. Być może nie spadłaby, gdyby była wstawiona jak należy. Jakby była przykręcona do

ściany, tak jak wymagała instrukcja. Gdyby miała wyregulowane stópki, stałaby twardo, nie przejmując się niczym. Szkoda, że osobie montującej szafę brakowało czasu lub chęci.

Wydawało mi się, że wszystko było takie jak pięć minut temu. Obie koleżanki zaczęły się kłócić. Cała kłótnia wyglądała jak ta, którą niedawno przeżyłem. Wiecie jak, już wam to mówiłem: „złodzieju”, „oszuście”... W międzyczasie przecinki i kropki w zdaniu zamieniły się na „kurwa” i „ja pierdołę”. Wtedy właśnie jedna z nich nie wytrzymała i chwyciła za składane krzesło, które leżało oparte o ścianę...

Zaraz... Czemu ja tam w ogóle stoję, jeśli wiem, co się stanie? – zadałem sobie pytanie... – Ale ja jestem pojebany. To tak, jakbym wszedł w gówna, spacerując w parku, a wracając wszedł w nie znowu.

Gdy jedna ze współpracownic złapała za krzesło, zrobiłem dwa kroki w bok. Krzesło przeleciało obok mnie jak pocisk, zatrzymując się na szafie. – Nie wierzę – pomyślałem – a jednak... Wszystko wydarzyło się dokładnie tak, jak kilka minut temu. Szafa spadła.

Prezes, szczerze wkurwiony całą sytuacją, wyrzucił wszystkich z sali. Wszystkich oprócz tych kobiet. Nie wiem dokładnie, co im powiedział, ale chyba się domyślacie, nic dobrego. Ta, która rzuciła krzesłem, dostała wypowiedzenie, druga natomiast za kłótnię straciła swoją premię.

Szczerze mówiąc, gównu mnie to interesowało. Najważniejsze było to, że żyję, tylko nie do końca wiedziałem, co się dzieje. Początkowo byłem pewien, że to, co się stało w łazience, było jednorazowe.

Wracając do biura... byłem jeszcze lekko otumaniony całą sytuacją. Zastanawiałem się, czy kiedyś przeżyję coś podobnego, a jeśli tak, czy mogę każdy taki incydent zmienić. Sprawdziłem w internecie, co to było. Początkowo myślałem, że *déjà vu*. To najbardziej mi pasowało, ale myliłem się, wizja była zbyt długa. Wizje, iluzje, czarna magia, jasnowidzenie, a może pomogły mi anioły, duchy, diabeł, narkotyki w kawie, opary? Było to dobro czy może zło?... Nie wiem, naprawdę nie wiem. Mogło to być wszystko. Miałem za mało informacji. Zresztą coraz mniej pamiętałem z tych wydarzeń. Wszystko zaczęło mi się urywać jak po przepiciu. Mogłem jedynie tłumaczyć, że ktoś czuwa nade mną, dba o to, aby nic mi się nie stało. Możliwa była też walka o moją duszę, ale to były tylko wymysły.

Przez cały dzień w pracy nie zrobiłem nic, nic prócz grzebania w necie i sprawdzania, co mi jest. Szukałem chyba tylko z obawy, że zdarzy mi się to jeszcze raz. Bo co, jeśli następnym razem nic nie zdołam zmienić?

Stopniowo zaczynałem o tym zapominać. To znaczy o mojej wizji, nie o całej sytuacji. Doszedłem do wniosku, że po prostu umysł znowu zaczął mi płatać figle, w końcu byłem przemęczony. Najłatwiej jest tłumaczyć to sobie na siłę, niż żyć w niewiedzy. Przynajmniej ja tak mam. Zbliżał

się długi weekend. Musiałem wytrzymać jeszcze jeden dzień w pracy i mogłem wreszcie wypocząć.

2

Wizje i dziki seks

Kacper przechodził już samego siebie. Rysunki wychodziły mu coraz lepiej. Mówiłem wam już co rysował? Chłopak był obserwatorem, rysował wszystko, co widział dookoła siebie. Postaci, nasz dom, psa sąsiadów, drzewa, chmury, mógłbym tak wymieniać bez końca. Tego właśnie dnia, kiedy wróciłem do domu, postanowił mi pokazać jedną ze swoich prac - jakiś krajobraz, który widział z okna szkoły. Nie jestem pewien, co dokładnie na nim było. Trochę wstyd mi o tym mówić, ale spławiłem go i poszedłem usiąść na kanapie. Nie miałem ochoty na jakieś pierdoły. Nie mam pojęcia, jak wtedy zareagował Kacper. Pozostało mi jedynie wierzyć w opowieści żony, która zapewniała mnie, że chłopak stał w jednym miejscu z wyrazem twarzy, jakbym zniszczył jego światopogląd. Sporo kosztowało mnie przyznanie się wam do tego, więc mnie nie sądźcie. Wiecie przecież, że nie było mi łatwo w pracy. Chociaż tego nie chciałem, czasem zdarzało mi się odreagować w domu, na przykład podniesieniem głosu. Amelia mi nie pomogła,

spojrzała na mnie, jakbym wyrządził dziecku krzywdę bliską katowaniu, a przecież to był tylko jeden pierdolony obrazek... Całe szczęście nic mi nie powiedziała. Po moim grymasie twarzy od razu wiedziała, że miałem ciężki dzień, więc z komentarzem poczekała na później.

Przez pierwsze pół godziny siedzenia na kanapie nawet nie podeszła. Wiedziała, że nie warto, bo albo byśmy się pokłócili, albo skończyłoby się na głupim przytyku z mojej strony. Taki miałem styl radzenia sobie z problemami. Amelia spoglądała na mnie co jakiś czas. Kiedy zauważyła, że już się uspokoiłem i zebrałem myśli, odstawiła wykonywane obowiązki i przysłała do mnie z kawą. Jak w każdym związku, miewaliśmy kłótnie. To coś normalnego. Dlatego właśnie, gdy wyszła z kuchni, trzymając na tacy dwie kawy, byłem pewien, że idzie do mnie. No tak, przecież to logiczne. Jak nie do mnie, to do kogo? Kacper kawy nie pije. Te cięższe dni zawsze tak wyglądały.

Amelia usiadła na kanapie tuż obok mnie, odstawiając tacę z kawami na stolik.

- Dwie łyżeczki? - zapytała dla pewności.

- Tak, dwie, przecież zawsze słodzę dwie - odpowiedziałem lekko poirytowany pytaniem.

Obiecywałem Amelii, że nigdy nie będę przynosił pracy do domu, że to, co się w niej dzieje, tam pozostanie, aby nie niszczyć naszych więzi. Fajnie to wszystko wychodzi tylko w teorii.

- Ciężki dzień w pracy? - odezwała się, próbując zagadać.

- Co? - zapytałem, powoli wracając myślami na ziemię.

- No ciężki dzień... czy miałeś...?

- Tak, przepraszam... to znaczy nie. Zresztą nie wiem. Nie wiem, co się ze mną dzieje. Nawet nie wiem, jak ci to wytłumaczyć.

- Nie wiesz? Już długo jesteśmy razem, przecież wiesz, że cię wysłucham. Jak było na zebraniu? Znowu każdy na każdego z ryjem? - zapytała mnie, dając do zrozumienia, że od razu wiedziała, jak spotkanie będzie wyglądać. W końcu mówiłem jej o wszystkim, nie potrafiłem tego tłamsić w sobie. Czasem, gdy był większy problem, próbowałem, ale prędzej czy później opowiadałem. Wtedy zawsze próbowała znaleźć jakieś rozwiązanie. Dlatego uznałem, że muszę jej o tym powiedzieć, w końcu nie znałem innej osoby, która słuchałaby mnie tak, jak ona.

- Więc? Powiesz? - zapytała ponownie po dłuższej ciszy.

- Tak, no było jak zawsze, aż słuchać się tego nie dało, ale to nie o to chodzi...

Chwyciłem za kubek i lekko spięty oparłem łokcie o kolana. Siedziałem tak dłuższą chwilę, zapowietrzając się przy próbie wyjaśnienia, co się wydarzyło. Amelia przestawiła fotel w moją stronę i usiadła, wpatrując się co jakiś czas w moje oczy i w narożnik, gdzie bawił się Kacper. Próbowałem z siebie wydusić kilka słów jakieś cztery razy, ale udało mi się dopiero za piątym.

- Kacper! Ani mi się waź!!! - wykrzyczała, przerywając mi kolejną próbę. - Przepraszam, Kacper chciał rysować po ścianie, słucham, mów dalej.

Zacisnąłem mocniej w dłoniach kubek z kawą, aby pozbyć się stresu. Delektowałem się zapachem czarnego płynu. Zawsze mnie to uspokajało. Zebrałem się w sobie i spróbowałem jakoś wytłumaczyć Amelii co przeżyłem. Mogłoby się wydawać, że najgorzej jest zacząć temat. Nic bardziej mylnego, gorzej było skończyć. Im bardziej wgłębiałem się w historię, tym dziwniej na mnie patrzyła, a jej grymas powiększał się z każdym wypowiedzianym słowem. Zaczęło mnie to zbijać z tropu. Naszły mnie wątpliwości, czy w ogóle to ma sens, gdy w pewnym momencie uśmiechnęła się pod nosem i zaczęła delikatnie kiwać głową, jakby słuchała historyjki dzieciaka.

- Kochanie... - wydusiła z siebie od niechcienia, jakby chciała, abym przerwał.

Spoglądając na dziecko, sprawdziła, czy czasem znowu nie próbuje rysować po ścianach.

- Kochanie... - wydusiła ponownie, trzymając mnie za rękę - to zmęczenie... przejdzie ci...

Opuściłem głowę z bezsilności, spoglądając na lamborghini, które zostawił Kacper przy dywanie.

Sam nie wiem, dlaczego zacząłem opowiadać jej o wizjach. Jakbym usłyszał to z jej ust, zareagowałbym tak samo. Nie powiedziałem jej wszystkiego, przerwałem w momencie, gdy szyba z szafy wbiła mi się w ramię. Wolałem całą resztę przemilczeć i jakoś wyjść z twarzą, opowiadanie wszystkiego nie wyszłoby mi na dobre.

- Spokojnie, żartowałem kochanie... - powiedziałem, próbując uspokoić Amelię i siebie. Chodziło o to

bezsensowne spotkanie, tam już nie można normalnie rozmawiać. Jak można rzucić w kogoś krzesłem? Trochę tam już pracuję, ale nadal nie mogę się do tego wszystkiego przyzwyczaić. Przypuszczam, że większość tamtejszych osób również nie potrafi. Nie chciałem się znowu żalić, opowiadać o spotkaniu i uznałem, że tak chyba będzie ciekawiej. Na dłuższą metę po prostu nie da się tam wytrzymać.

- Rozumiem, ale bądź wreszcie poważny. Martwiłam się, że już tam zaczynasz wariować, nie strasz mnie tak... Domyślałam się, że można tam oszaleć i dlatego dziękuję, że się starasz. Mam nadzieję, że szybko znajdziemy coś lepszego - powiedziała, próbując mnie uspokoić. - Pamiętaj, że nie możesz teraz stracić pracy.

- Wiem, że musimy jakoś spłacić ten pieprzony kredyt. Dam radę, obiecuję.

Mogłem wam tego nie mówić, ale wybudowaliśmy dom, trochę nam brakowało kasy, więc postanowiłem pożyczyć. Gdybym stracił pracę, byłbym w dupie. Tak to jest w dzisiejszych czasach, bez kredytu nikt nie daje rady. No chyba że masz bogatego ojca, który we wszystkim ci pomaga.

Siedziałem w fotelu z Amelią jeszcze jakiś czas, uśmiechając się, pijąc kawę i udając, że jest wszystko w porządku. Chociaż wydaje mi się, że oboje udawaliśmy.

- A jak tobie idzie szukanie pracy? Masz coś sensownego?

- Jeszcze nie, ale szukam, w tych czasach ciężko coś znaleźć. Mogę zacząć od zaraz, ale pracę przy taśmie za najniższą krajową.

- Tak, wiem, ale nie tylko w Jarocinie, w całym pieprzonym państwie nie ma perspektyw. Trzeba się zastanowić, czy chcesz pracować, czy zarabiać. Jak to drugie, to najlepiej jechać za granicę i mieć spokój.

- Znajdę coś, w najgorszym wypadku pójdę na tę taśmę.

- Daj spokój, aż tak źle nie jest, poszukaj czegoś ambitniejszego. Przecież w takiej pracy zwariujesz. Wybacz, ale może lepiej pójdę przeprosić Kacpra.

Głupio mi było znowu zostawiać Amelię, ostatnio rozmawialiśmy coraz mniej, ale zachowałem się nie fair w stosunku do synka. Pocałowałem Amelię w policzek i poszedłem do chłopaka. W ramach rekompensaty postanowiłem się z nim trochę pobawić. Dawno tego nie robiłem, więc dzieciak się bardzo ucieszył. Pierwsze, co zrobił, to - rzecz jasna - pokazał mi stos swoich rysunków. Rozłożył na dywanie wszystkie, które namalował w tym tygodniu. Trochę się ich zebrało, było ich jakieś piętnaście, nie wiem dokładnie, nie liczyłem. Nie mam pojęcia, co on robił oprócz rysowania. Po jakichś trzydziestu minutach opowiadania o nich, wyciągnął wreszcie zabawki, jak normalny chłopak. Dwa klasyczne samochodziki, które dostał od ciotki. Początkowo bawiliśmy się dobrze, ścigając się po torze ustalonym przez jednego z uczestników wyścigu, a zarazem sędziego. Nie rozumiałem za bardzo zasad, ale wystarczyło, że jechałem za nim.

Niestety później temu właśnie sędziemu szybko się znudziło. Zaczął mnie najzwyczajniej splawiać, mówiąc, że jest zajęty. Rozumiecie to? Bawiłem się z nim raptem przez godzinę, po czym powiedział, że pójdzie sobie porysować. Nie pozostało mi nic, tylko się zgodzić i umówić na małe spotkanie z telewizorem w salonie.

Salon mieliśmy bardzo duży, w końcu tam właśnie siedzieliśmy najczęściej. Staraliśmy się urządzić go w stylu amerykańskim. Nawet nam wyszło. Tak jak w sypialni, mieliśmy duże okno, przez które widzieliśmy ogród. Byłem z niego równie dumny. Basenu nie mieliśmy (klimat nam nie pozwalał), postawiliśmy na altankę z murowanym grillem i trawnik, przez który przechodził kamienny chodniczek, aby nie zdeptać trawy. Cały widok działał na nas pozytywnie.

Przy oknie nie było niczego, tam właśnie postanowiliśmy zrobić kącik dla dziecka. Miejsca było bardzo dużo. Wystarczyło na zrobienie imprezy, jeśli zaszłaby taka potrzeba. Kanapa stała centralnie na środku, w takim miejscu, aby spoglądając w prawo, można było zobaczyć ogród, a patrząc przed siebie - wielki telewizor. Po lewej stronie była wieża, której nie używaliśmy zbyt często, obok niej były schody na górę. Bezpośrednio za telewizorem natomiast przejście do kuchni. Na jednej ze ścian wisiał obraz, który namalował Kacper, kiedy miał jakieś dwa latka. Nie było to wybitne dzieło, bardziej bazgroły, które na płótnie namalował dzieciak.

Postanowiliśmy to amatorsko oprawić w ramę wykonaną ze starego stołu, wyglądało ciekawie.

W telewizji obejrzałem jakiś program. Nawet przyszło mi do głowy, żeby coś zacząć pisać, ale niestety na planach się skończyło. Miałem za dużego lenia albo jak kto woli, nie miałem weny (to przecież jedno i to samo), więc skończyło się na jakimś filmie, który zatrzymał mnie na prawie dwie godziny plus (nie zapominajmy o tym) dwadzieścia minut reklam.

Dziecko już spało, więc wiedziałem, co mnie jeszcze czeka. Miałem bardzo przewidywalne życie i będąc w mojej skórze, każdy by wiedział. Cekał mnie szalony, perwersyjny, lubieżny, zboczony, namiętny, rozkoszny, budzący pożądanie seks, o którym może nie powiem. Nie myślcie, że próbuję was namówić do czytania dalej, ale może pod koniec książki wam opowiem. Nie mówię, że na pewno, najprawdopodobniej nie, ale może jednak tak. Na tę chwilę mogę wam powiedzieć, że po nim, jak na statystycznego człowieka przystało, poszedłem spać.

Rano obudziła mnie żona, tak jak zwykła to robić, pocałunkiem w policzek.

- Kochanie wstawaj, czas do pracy - wyszeptała do ucha.

Poleżałem jeszcze chwilkę, a Amelia poszła obudzić naszego synka. Miałem jeszcze trochę czasu, więc czekałem na następną wizję. Bałem się, ale może dzięki adrenalinie,

jaka mi wtedy towarzyszyła, w głębi duszy tego chciałem. Nie miałem pojęcia dlaczego, ale czułem, że przyjdzie. Przecież po tym, co się działo wczoraj, wizje nie znikłyby tak od razu. Myślałem nad tym, budząc się w środku nocy. Wszystko ma swój sens. Doszedłem do tego dopiero po nieprzespanej nocce. Byłem pewien, że coś się za tym kryje. Gdy byłem dzieckiem, zawsze wierzyłem, że jestem inny niż reszta, posiadając nadprzyrodzone moce, które na pewno jeszcze się nie uaktywniły. Chyba każdy to kiedyś przeżył, każdy przecież myślał, że jest nieśmiertelny.

Zamknąłem oczy. – Może to mi trochę pomoże w wizji – pomyślałem. Próbowałem nie zastanawiać się nad niczym. Nie miałem pojęcia, jak „to” wywołałem. Jedyne, co wiedziałem, to to, że się boję, jakie przyniosą skutki.

– No dalej, dawaj... – zacząłem mówić do siebie, próbując „to” przyspieszyć.

Otworzyłem delikatnie oczy, aby zobaczyć, która godzina, przecież nie mogłem się spóźnić. – Jeszcze nie – pomyślałem. – Mam jeszcze trochę czasu – dodałem, zaciskając żuchwę. Moje ciało zaczęło robić się coraz lżejsze. Otworzyłem ponownie oczy i rozejrzałem się dookoła, szukając jakichś nadzwyczajnych rzeczy. Nie udało się, był już mój czas, musiałem wstać i iść do łazienki. Zrzuciłem z siebie kołdrę, która zahaczyła o stolik nocny i na nim zawisała. Wychodząc z pokoju, spojrzałem jeszcze na okno, które tak samo jak poprzedniego dnia, było uchylone. Nie wiem, czemu za każdym razem zostawiam je otwarte na noc i za każdym razem zapominam zamknąć nad

ranem. Nie wiem, jaki to ma sens, chyba nawyki u mnie wygrywają.

Westchnąłem z lenistwa i udałem się w stronę okna, zaspany, szurając klapkami po panelach. Wystarczyło zrobić trzy kroki. Stałem gdzieś w okolicy łóżka (czyli dwa metry od okna), gdy trzasnęło w ramę. Spojrzałem na nie, jakby to było normalne, i udałem się do łazienki. Dopiero po kilku sekundach przetarłem ponownie oczy z niedowierzenia, dopuszczając do siebie myśli, że coś się stało. Z kamiennym wyrazem twarzy stałem, jakbym czekał na jakieś wyjaśnienie, odpowiedź, radę czy coś w tym stylu. Zdawało mi się? Phhh... parsknąłem z uśmiechem na twarzy.

- Idź spać człowieku, bo ledwo żyjesz - powiedziałem, machając ręką od niechcienia, po czym aż podskoczyłem ze strachu. Zawiasy się zatrzęsły, kiedy okno się otworzyło. Wyleciałem z pokoju jak poparzony sprawdzić okno po oknie. Może to zasługa przeciągu? Robiłem to coraz szybciej, ale po obejrzeniu kilku okien niczego nie zauważyłem. Stałem przy ostatnim. - Jeśli jest zamknięte, to chyba śnię - powiedziałem na głos, przełykając ślinę. Zbliżałem się, wychylając głowę, jakby miało mi stamtąd coś wyskoczyć, cały czas spoglądając na uszczelki. W tej samej chwili, kiedy złapałem się za głowę, przerzucając włosy i zaciskając zuchwę, okno znowu trzasnęło.

- Nie wiem, nie wiem, nie wiem - mówiłem do siebie, biegnąc z powrotem do pokoju. Podniosłem rękę, aby przetrzeć twarz, a wtedy znowu to się stało. Wystarczyło, że machnąłem ręką w stronę okna, a ono zamykało się

z hukiem. - Co jest kurwa - powiedziałem, rozglądając się dookoła. To jakiś żart? - Kto tam jest!?! - krzyczałem z stronę okna przerażony. Byłem zaspany i nie wiedziałem, co właśnie się stało. Machnąłem ręką drugi raz, teraz już w moją stronę, a okno wróciło do poprzedniej pozycji. Przełknąłem nerwowo ślinę, potem zacisnąłem żuchwę pięciokrotnie, przecierając usta. Wtedy usłyszałem jakiś szum, ktoś coś do mnie mówił, ale nie byłem w stanie zrozumieć co. Wychyliłem delikatnie szyję i zmrużyłem oczy, mając nadzieję, że to pomoże mi usłyszeć. Niestety, bezowocnie. Podeszedłem do okna, aby sprawdzić, czy może ktoś mówi z ogrodu. Nie zdążyłem, jakieś półtora metra przed nim bark zaczął mi się trząść tak, jakbym dostał ataku padaczki. Szum stał się bardziej uciążliwy i po kilku sekundach przejął władzę nad mózgiem. Rozejrzałem się dookoła, nikogo nie było.

- Kto tu jest!!! - wykrzyczałem w panice. - Kto tu kurwa jest!!! Pokaż się!!!

Jeden - zamknąłem oczy, szum powoli zaczął zagłuszać mój paniczny oddech.

Dwa - rozejrzałem się ponownie dookoła.

Trzy - szum zaczął narastać, kształtując się w jakieś słowa.

Cztery - zalałem się potem.

Pięć - szum narastał, a bark trzął się jeszcze bardziej, jakby miał mi zaraz odpaść. Jeszcze nigdy nie czułem czegoś takiego. Co jest... Nawet zaciskanie żuchwy, co

zawsze dawało jakiś rezultat, nie pomogło w ogarnięciu nerwów.

- Kochanie, wstawaj... usnęło ci się - powiedziała Amelia, budząc mnie szarpaniem barku.

- O co ci chodzi? Która godzina? - zapytałem otumaniony.

- Za dwadzieścia minut zaczynasz pracę, pośpiesz się... Myślałam, że już wstałeś.

- Czemu mnie nie obudziłaś wcześniej?!

Wyskoczyłem z łóżka, strasząc przy tym Amelię. Jeszcze szybciej sięgnąłem po ciuchy. Ona natomiast postanowiła udać się z powrotem do kuchni, nie chciała mi przeszkadzać. Była pewna, że nie zatrzymam się na dole, tylko od razu pobiegnę do samochodu, dlatego przygotowała mi wszystko na wynos. Nie tracąc ani sekundy, pobiegłem do łazienki, zapominając o zamknięciu okna. Ważniejsze było dla mnie, by nie spóźnić się do pracy, więc zrezygnowałem z tego zwyczaju.

- Ja pierdolę, co ja myślałem... - zacząłem mówić do odbicia w lustrze. - Jakież wizje mi się uroiły... Dorian, ogarnij się! - powiedziałem, uderzając się w policzek na ocknięcie. - Umysł zaczyna płać ci figle? Uspokój się, bo skończysz w wariatkowie... - dodałem, wymachując ręką i uderzając w lustro, które było tylko oparte o umywalkę i ścianę. W ostatniej chwili zdołałem je ochronić przed upadkiem na ziemię.

Złość na siebie zaczęła przeradzać się w śmiech. - Ty dzieciaku - pomyślałem, obmywając sobie twarz i wycierając jakimś ręcznikiem, który leżał na ziemi (chyba zostawiony przez żonę). Zamiast umyć zęby przepłukałem je wodą, w międzyczasie sikając. Wodę wyplułem gdzieś w okolicach umywalki. A... potem się posprząta - pomyślałem. Nie leżało w mojej naturze robienie syfu w łazience, ale wyjątkowe sytuacje wymagają wyjątkowych czynów, chociaż wiedziałem, że po osikaniu klapy Amelia mnie zabije.

Nie mam pojęcia, czemu sen chodził mi cały czas po głowie. Czym ja się w ogóle zamartwiałem? Chociaż jedną sprawę mam z głowy... Wyszedłem z łazienki, trzaskając drzwiami. To był sygnał dla Amelii, nie potrzebowaliśmy słów, aby się dogadać nawet w ekstremalnych warunkach. Wiedziała, że za kilka sekund wybiegnę z domu, jakbym brał udział w maratonie. Musiała wtedy jedynie wyciągnąć dłoń z tym, co przygotowała, i zrobiła to perfekcyjnie. Łapiąc za klamkę drzwi wyjściowych, dostałem kanapki i jakiś napój. Mistrzowsko ominąłem wiaderko i łopatkę Kacpra leżące przed domem i wskoczyłem do samochodu. Udało się, miałem jeszcze dziesięć minut. Nie wiem, po co wstaję zawsze tak wcześnie, jeśli wystarcza mi ich dwadzieścia - powiedziałem, żartując sobie z całej sytuacji.

Gdyby ktoś mnie widział w drodze do pracy, pomyślałby, że ma do czynienia z wariatem. Jedzie taki samochodem sam jak palec, a usta mu się nie zamykają. Przez całą drogę

mówiłem do siebie, nie mogłem po prostu przemilczeć tego snu. To znaczy - żeby było jasne - nie przejmowałem się nim, wręcz przeciwnie. Nie potrafiłem wytrzymać ze śmiechu, jak mogłem uwierzyć w to, że mam jakiś dar? Zastanawiacie się na pewno, czemu miałem taką wizję w pracy, w środku dnia. Nigdy nie spodziewałbym się, że uda mi się usnąć podczas niej, byłem pewien, że wtedy właśnie usnąłem. To znaczy tak mi się wydaje... Mogłem się do tego chociaż nie przyznawać. Dobrze, że nie wiecie, w jakiej firmie pracuję. Tak na wszelki wypadek, umówmy się, że nikomu tego nie powiecie, bo zamiast jeździć do pracy, będę jeździł co miesiąc do urzędu pracy.

W firmie był ruch jak rzadko kiedy. Zdarzał się jedynie wówczas, gdy przyjeżdżały tiry po odbiór surowców. Nie wiedzieć czemu, zwały się wszystkie tego samego dnia, jeszcze przed otwarciem zakładu, blokując wjazd. Jakby kierowcom miała korona spaść z głowy, gdyby przyjechali pół godziny później. Jakoś udało mi się przedostać między nimi i znaleźć miejsce na parkingu. Mimo opóźnienia i tak w pracy byłem drugi, przede mną przyjechał tylko jeden z pracowników kadr. Wolałem przychodzić pierwszy, wtedy po włączeniu komputera miałem jeszcze czas zaparzyć sobie kawę. Później oczywiście też była taka możliwość, ale musiałbym posiadać specjalne zdolności w przepychaniu się do ekspresu. Nie wystarczyłoby mi na to sił. Od samego rana kawa nie przechodziła mi przez gardło, do śniadania zawsze piłem herbatę, więc musiałem to nadrobić w pracy.

Teraz siedziałem w fotelu, delektując się jej smakiem i patrzyłem, jak cała reszta o nią walczy. Siedziałem tak zawsze jakieś piętnaście minut, słuchając nowinek o współpracownikach, jak to mieli w zwyczaju biurowi.

Największym hitem było spotkanie z poprzedniego dnia. Nikt z jednej grupy nie mógł uwierzyć w to, że Asia rzuciła krzesłem, a nikomu z drugiej grupy nie mieściło się w głowie, że Asia została zwolniona. Jak widać, oba obozy doskonale się uzupełniały. Po ostatnim spotkaniu jeszcze bardziej można było zauważyć nasz śmieszny podział. Miałem ich wszystkich coraz bardziej gdzieś. Jakbym się odezwał, jeszcze dostałbym krzesłem, wolałem więc nie ryzykować. To znaczy nadal trzymałem ze swoją grupą, ale nie wdawałem się w jakieś sprzeczki. Jeśli chodzi o Justynę (tę, która dostała krzesłem), wzięła sobie tego dnia wolne. Uderzenie nie zagrażało jej życiu, było delikatne, została jej jedynie drobna pamiątka w postaci guza. Przewróciła się pod wpływem uderzenia, bo była drobna. Biedaczka ledwo stała, gdy wiatr bywał mocniejszy, cud, że jak oberwała, to się nie połamała. Jeden dzień wolnego dobrze jej zrobił, dawno takiego nie miała.

Po chwilowej zadumie przy kawie, zasiadłem do komputera, próbując sklecić kilka zdań. – Może uda mi się stworzyć coś lepszego niż wczorajsze numerowanie stron? – pomyślałem. Ponownie postanowiłem opisać moją codzienność w pracy. Mogłoby się wydawać, że to nic

ciekawego, ale warto spróbować, może wyszłoby z tego coś interesującego. Pierwszą stronę napisałem dość szybko, ale później nie byłem już w stanie pracować. Tiry, które od rana czekały na otwarcie zakładu, wjechały, a nasze maszyny zaczęły je załadowywać. Było zbyt głośno.

Dzień włókł się strasznie, po ostatniej wojnie panowała zupełna cisza. Chyba wolałem już te hałasy, można było chociaż posłuchać i czas płynął zwawiej. Tykanie zegarka, który leżał na biurku obok laptopa, coraz bardziej mnie irytowało. Byłem pewien, że niedługo cisza zostanie zaburzona, każdy musiał po prostu dość do siebie. Byłem przekonany, że po długim weekendzie będzie jak dawniej.

- Cholera, tu się nie da pracować - powiedziałem do siebie, próbując przekrzyczeć pracujące maszyny. - Czemu to właśnie ja mam najgorsze biuro...

Jedynym sposobem na ucieczkę od szumu było zaktualizowanie listy materiałów promocyjnych w magazynie. Nie znam się na zasadach budownictwa i nie umiem wam wytłumaczyć, dlaczego magazyn z maszynami, który znajdował się bliżej hali, był bardziej wyciszony niż moje biuro. Na pewno miało to głębszy sens, o którym ja nie mam pojęcia.

Wziąłem klucze z szuflady zabezpieczonej innym kluczem, który miałem oczywiście ja. Wyszedłem na korytarz, który sąsiadował z jeszcze jednym. Tam znajdowały się szatnie, kuchnia i magazyny, każdy od czegoś innego. Moje pomieszczenie mieściło się na końcu tego korytarza. Rozstaw włączników światła irytował mnie

jeszcze bardziej niż te maszyny. Wchodząc, miałem wybór – mogłem skrócić w prawo i przejść dwa i pół metra, aby oświetlić korytarz, albo przejść cztery metry w ciemnościach i po omacku otworzyć drzwi. Początkowo zapalałem światło, ale po jakimś czasie uznałem to za bezsens. Dawałem sobie radę, skręcając od razu w lewo.

Magazyn miałem zagracony. Zegarki, torby, smycze, długopisy... mógłbym tak wymieniać jeszcze kilka minut, ale po co wam to? Zaświeciłem światło i po delikatnym uchyleniu drzwi (nie mogłem ich całych otworzyć, kilka kartonów mi w tym przeszkadzało) przecisnąłem się jakoś do środka. Listę i długopis położyłem na półce i usiadłem na jednym z kartonów. Kurczę, jednak trochę lubiłem nasze małe wojny. Wtedy chociaż nie mogłem narzekać na nudę, było z czego się pośmiać. Intryg, knutych przez tę złą grupę, nigdy tu nie brakowało.

Jeszcze tego samego dnia zorganizowane było kolejne spotkanie, tym razem w sprawie poprzedniego. Obowiązkowo musieli zjawić się na nim wszyscy. Prezes spokojnie poczekał, aż wszyscy pracownicy przybędą, nie miał ochoty powtarzać tego samego po raz drugi. Nie było to długie spotkanie, ograniczyło się do informacji o karach pieniężnych za kłótnie w miejscu pracy. Wydawało mi się, że było to najlepsze rozwiązanie, które – niestety – czyniło moją pracę jeszcze nudniejszą. Spotkanie... Gdyby nie ono, prędzej czy później pozabijalibyśmy się nawzajem.

Po kolejnym, żmudnym dniu w pracy, odprężenie niespodziewanie znalazłem w domu. Wszedłem znudzony do pokoju z głową zwieszoną, wpatrzony cały czas w podłogę. Zamknąłem drzwi i wrzuciłem klucze do miski, która stała tuż przy drzwiach wyjściowych. Wtedy podniosłem głowę i zobaczyłem Amelię przy schodach.

- Dzień dobry, kochanie - powiedziała, uśmiechając się do mnie zalotnie.

Kacper po szkole nie wrócił do domu. Ku mojemu zdziwieniu, postanowił pójść do kolegi, przekupiony zabawą jego nowymi zabawkami. Truł Kacprowi o swoich nowych robotach (oczywiście z jakiejś bajki) już kilka dni, aż ten w końcu zgodził się przyjść. Powiedziała mi o tym półnaga Amelia z zalotnym uśmieszkiem i oczami jak świecące świetliki. Zawsze, kiedy miała na mnie ochotę, jej oczy błyszczały. Taki sam uśmieszek pojawił się u mnie, kiedy ją zobaczyłem. O tak... dziś mi się poszczęści - pomyślałem, przełykając ślinę.

Miała na sobie koronkowe bokserki (te, które najbardziej mi się podobały). Czarne majtki leżały jakby były uszyte specjalnie na nią. Stanik miała również czarny z czerwonymi akcentami, a do tego rozpięty czerwony, satynowy szlafroczek, który - można powiedzieć - zakrywał jedynie plecy.

Podchodziła do mnie w czarnych szpilkach, zagryzając wargi. Jakby chciała powiedzieć „weź mnie”! Szła szybkim krokiem, ale z gracją, delikatnie zsuwając z siebie szlafroczek. Początkowo stałem w bezruchu, wpatrzony

w nią jak w obrazek. Zrzucając szlafrok na ziemię, zaczęła dotykać się po brzuchu, delikatnie idąc w kierunku majtek. Zatrzymała się dopiero dwa metry przede mną, uśmiechając zalotnie.

- Podejdiesz? - zapytała, wsuwając sobie rękę w majtki.

Przełknąłem ślinę z podniecenia, stojąc ciągle w tym samym miejscu. Amelia oblizwała usta, kładąc drugą rękę na piersi.

- Nie chcesz? - zapytała widząc moją reakcję. - To sama skończę... - dodała.

Amelia rozchyliła majtki, aby zrobić sobie więcej miejsca na dłoń. Wtedy dopiero dotarło do mnie, co mówi, i ruszyłem w jej kierunku. Patrzyła na mnie jakby chciała mnie pożreć wzrokiem, ruszając przy tym dłonią. Ruszała nią powoli, kolistymi ruchami, czekając, kiedy w końcu będę przy niej. Gdy byłem już jakieś piętnaście centymetrów od niej, wyciągnęła rękę. Dotykając mojego policzka wilgotnymi palcami, muskała mnie po twarzy, patrząc szklistym wzrokiem.

- Pocałuj mnie - wyszeptwała.

Przełknąłem ponownie ślinę w przypiływie emocji, trzymając dłoń na jej policzku. Zbliżyłem swoje usta do jej ust, pieszcząc je wilgotnym pocałunkiem. Wystarczyło poczuć jej smak, żeby rozpalić się do czerwoności. Jedną ręką złapałem ją za lędźwie i docisnąłem do siebie, całując nieustannie. Odchyliłem jej głowę i zacząłem całować po szyi. Po każdym dotknięciu wargami dekoltu, czułem jej

drzenie z podniecenia przeplatane delikatnym pomrukiwaniem. Po kilku pocałunkach Amelia zaczęła subtelnie ruszać biodrami w momentach, gdy dociskałem ją do siebie mocniej. Szybkim ruchem odpiąłem stanik, rzucając go gdzieś w kąt, a Amelia w tym samym czasie odsunęła mnie nieznacznie od siebie, aby rozpiąć mi spodnie, i zaczęła dotykać moją męskość.

Nie tracąc czasu, zsunąłem Amelii majtki i położyłem ją na stole. Kacper mógł przyjść w każdej chwili. Rozkładając jej nogi, czubkiem penisa zacząłem dotykać jej łechtaczkę, patrząc na jej drżący z podniecenia podbródek.

- Ja chcę już - powiedziała łamliwym głosem.

Nie mówiąc ani słowa, wsunąłem się w nią czubkiem penisa, wyciągając go od razu. Łapiąc za włosy, odchyliłem jej głowę, abym mógł wygodniej całować ją po szyi. Poczułem, jak Amelia napina coraz częściej uda. Robiła tak zawsze, gdy była blisko. Ruszając cały czas biodrami, wilgotniała coraz bardziej, gdy całowałem ją po brzuchu. Chwyciła moją głowę, zbliżając ją coraz bardziej do swojego łona. Zacząłem całować jej uda, czując, jak napinają się jej mięśnie. Zapowietrzając się co chwilę, ścisnęła coraz mocniej uda. Kiedy zacząłem całować jej wargi i łechtaczkę, doszła pierwszy raz. Wtedy wychylając się znad jej nóg, pocałowałem ją w usta, jednocześnie się w nią wsuwając. Amelia objęła mnie nogami i dociskała do siebie coraz mocniej, wyginając całe ciało z rozkoszy. Podtrzymując się rękoma o narożniki stołu, zapierała się, aby czuć mnie jeszcze głębiej. Ja natomiast jedną ręką ścisnąłem jej

pośladek, pomagając w dociśnięciu, a drugą przytuliłem resztę ciała. Po chwili odsunąłem się nieznacznie, abym mógł dotykać jej ciała. Nie miałem na to zbyt wiele czasu. W tym samym momencie położyła mi nogi na barkach, patrząc jak w amoku na sufit. To była jej najlepsza pozycja, stymulowałem wtedy jej punkt G, co zawsze doprowadzało ją do wytrysku. Złapałem ją za biodra i zacząłem się poruszać coraz szybciej.

- Kocham cię - szeptała w przerwach, kładąc nogi na ziemię.

Odpowiedziałem jej jeszcze dochodząc, uśmiechając się przy tym.

- Brakowało mi tego...

- Doszłam trzy razy - powiedziała, kładąc się wygodniej na mokrym stole.

- Ja raz - odpowiedziałem głupio.

Wiem, że żart był trochę suchy, ale nie myślę zupełnie jasno po seksie. Położyliśmy się na podłodze zdyszani, byłem zdziwiony, co ta kobieta potrafi. Szkoda, że zbiliśmy naszą ulubioną lampę, gdy rzuciłem jej szpilki gdzieś w tę stronę, ale było warto. Spojrzałem na zegarek. Zgodnie z tym, co mówiła Amelia, Kacper miał przyjść za jakieś dwadzieścia minut, więc musieliśmy ogarnąć salon. Nie mieliśmy dużo czasu, ale i tak Amelia chciała jeszcze raz. Po narodzinach dziecka rzadko mieliśmy szansę być sami w dzień, więc korzystaliśmy z tego jak się tylko da, bo nie mieliśmy pojęcia, kiedy znowu trafi się taka okazja.

Namiętność nas nie opuszczała, a to jest tutaj najważniejsze.

Kacper przyszedł do domu po trzydziestu minutach. Latem pozwalaliśmy mu wychodzić samemu. Mieszkaliśmy na peryferiach miasta, nie narzekaliśmy na duży ruch. Usprawiedliwię się od razu, bo nie chcę wyjść na zwyrodnialca. Gdyby po naszym osiedlu jeździło dużo samochodów, nie pozwolilibyśmy chodzić mu samemu do kolegów. Jednak otaczał jej malutki park, do którego nie mieli wstępu menele, jakich pełno w centrum miasta. Można powiedzieć, że to dzięki wygórowanym cenom działek, na które nie miała co liczyć rodzina zarabiająca poniżej średniej krajowej. Na wszelki wypadek myśleliśmy też o ogrodzeniu całego osiedla, ale pomysł jakoś nie zyskał wielu sympatyków. Kacper, jak już chyba zresztą mówiłem, był odludkiem, więc gdy słyszałem, że ma spotkać się z kolegą, wypychałem go chociażby siłą. Wtedy mógł się oderwać od tych rysunków. Cieszyłem się, że ma jakiegokolwiek zainteresowania, ale nie można ich rozwijać przez cały dzień. Musiał się czasem oderwać od codzienności.

Po wyczerpujących zabawach u kolegi, Kacper szybko poszedł spać. Wreszcie mogłem spokojnie usiąść przed telewizorem. Amelia była czymś zajęta, więc delektowałem się ciszą – pierwszy raz od dawna, i czekałem, aż żona wróci z kuchni. Z Amelią dawno nie mieliśmy takich wieczorów, wreszcie mogłem zająć się tylko naszą rodziną.

Jeśli chodzi o moje „wizje”, może miałem rację... nie było owych, ale zastanawiając się nad tym... nawet na dobre wyszło. Dzięki temu wreszcie miałem pomysł na książkę, oczywiście nie o mężczyźnie, który doznał jakichś wizji. To byłoby chyba zbyt banalne. Dobrym tematem była moja praca. Walka w obozach o swoje miejsce w szeregu, zakrapiana jakimś prostym romansem dla urozmaicenia akcji. Miałem cały długi weekend, więc byłem pewien, że zdołam coś więcej napisać.

3

Kobieta w czerwonej sukience

Po weekendzie czułem się wypoczęty jak nigdy, w końcu cztery dni laby zrobiły swoje. Ciężko było wrócić do codzienności. Chociaż nie... gorzej było zebrać się w sobie, aby znowu jechać do pracy, zobaczyć te same ryje. Nie znosiłem niedzieli. Przypuszczam, że nie jestem w tym osamotniony i większość z was jej nie lubi. Najgorsze były te wieczory, kiedy miałem jeszcze na tyle wolnego, aby usiąść na kanapie i cieszyć resztą weekendu, ale nie dość, aby nie myśleć o obowiązkach i pracy. Wtedy myślałem tylko o tym, jak bardzo mi się nie chce przeżywać kolejnego tygodnia, mobilizując się słowami „byle do piątku, byle do piątku”. Chujowe uczucie. Pracować codziennie, całe tygodnie, miesiące, lata i tak aż do usranej śmierci po to, aby pracodawcy żyło się lepiej, a my byśmy mogli przeżyć od dziesiątego do dziesiątego... I niby nie jesteśmy zwierzętami? Mamy taki sam instynkt przetrwania, każdy musi w końcu coś jeść. Może gdybym nie miał rodziny, zrobiłbym coś ze swoim życiem, ale w moim przypadku

lepiej nie ryzykować. Mogłem jedynie żyć w przekonaniu, że Kacper rozegra to wszystko lepiej niż ja, że zainteresuje się najpierw karierą, a dopiero potem rodziną.

Jaki mógłby być mój poranek? Przepraszam, nie chcę was zbyt nudzić, ale był jak zawsze... Zwykły poranek, który rozpoczęła żona pocałunkiem w policzek. Obudziłem się z uśmiechem na twarzy. Amelia od razu poszła na dół, ja natomiast poleżałem jeszcze chwilę. Tym razem wolałem nie ryzykować i ustawiłem sobie budzik. Tak na wszelki wypadek, jakbym znowu miał usnąć. Leżałem kilka minut z rękoma za głową i splecionymi nogami, patrząc w sufit sypialni. - Jak mi się nie chce wstać - pomyślałem. Zastanawiałem się jedynie, czy poleżeć jeszcze chwilę, a może lepiej nie ryzykować zaśnięcia... - Lepiej wstanę - pomyślałem, niszcząc wszystkie swoje zwyczaje i wychodząc z łóżka przed czasem. Przygotowanie się do pracy przebiegło tak jak zawsze. Zamknąłem okno (wracając się oczywiście), ogoliłem się, umyłem zęby, włosy, nie osikałem klapy i tak dalej.

Wszystko, ku mojemu zdziwieniu, poszło mi szybciej niż myślałem. W końcu wydawałoby się, że zaburzając mój poranny rytm, nie będę w stanie zrobić niczego w normalnym tempie. Chociaż dzięki temu, mogłem posiedzieć trochę z Amelią i Kacprem w kuchni. Dziwnie się trochę czułem, zmieniłem mój harmonogram o kilka minut i dlatego chyba miałem wrażenie, że o czymś zapomniałem. Jakbym nie przygotował do pracy czegoś ważnego, bez czego nie będę mógł normalnie funkcjonować, ale za

cholere nie mogłem sobie przypomnieć czego. Na pewno też kiedyś się tak czuliście...

Nie chcę was zanudzać moimi porannymi zwyczajami i zasną rozmową, więc trochę przyspieszamy... Złapałem za klamkę i otworzyłem drzwi. Obróciłem głowę, aby pożegnać się z rodziną i wtedy padłem na ziemię, jakbym dostał prawym sierpowym. Upadając, zahaczyłem o klamkę i uderzyłem głową w futrynę. - Kurwa... krzyknąłem bezwarunkowo pod wpływem bólu, który był przerażający. Nie widziałem jeszcze, kto stoi przede mną, ale byłem pewien, że nie mam szans. Wystarczyłby jeden celny kop w głowę i byłoby po mnie. Na wszelki wypadek zasłoniłem twarz, może byłbym w stanie się jakoś bronić... nie mogłem pozwolić na to, aby ktoś wtargnął do mojego domu, zrobił krzywdę rodzinie...

- Ja pierdołę... Kacper!!! - krzyknąłem z furją do syna.

Dopiero po kilku sekundach byłem w stanie dostrzec, że leżał tam jego samochodzik. Wiedziałem, że kiedyś się przez niego przewrócę.

- Mówiłem ci, że masz zbierać swoje zabawki!!! - krzyknąłem ponownie, zwiłając się z bólu.

- Przepraszam... - odpowiedział przestraszony łamliwym głosem.

- Posprzątaj to - powiedziała bardziej łagodnie Amelia, żeby zbytnio nie straszyć Kacpra.

- Już nie będę, przepraszam tato.

- Zabierz zabawki i szykuj się do szkoły.

Kacper, przepraszając mnie jeszcze raz, zabrał wszystko, co zostawił przed wejściem, Amelia natomiast pomogła mi wstać i jakoś się ogarnąć. – Musimy go wreszcie nauczyć sprzątanania po sobie – powiedziałem, trzymając się za głowę. Całe szczęście nie krwawiła, ale bolała mnie niemiłosiernie. Spojrzałem w stronę Kacpra, przeklinając w duszy jego niechlujstwo. Dobrze, że nie na głos, gdybym to powiedział, żona by mnie zabiła. Uczesalem szybko włosy i wsiadłem do samochodu. Rzuciłem teczkę na siedzenie pasażera i otworzyłem schowek. – Gdzieś tu muszą być – pomyślałem, grzebiąc jeszcze głębiej. Zawsze trzymałem w nim jakieś tabletki przeciwbólowe, tak na wszelki wypadek. Głowa nie bolała mnie zbyt często, ale wolałem nie ryzykować. Jak już zaczęła, to nie mogłem wytrzymać, strasznie bałem się takiego bólu. To było gorsze niż dentysta. Wziąłem od razu trzy, oceniając, że akurat tyle jest mi w stanie pomóc, i popiłem sokiem, który dała mi Amelia. Poczekalem jeszcze jakieś pięć minut. Gdy poczułem, że zaczynają działać, odpaliłem samochód. Amelia w tym czasie przeszła po wjeździe, aby pozbierać kilka dodatkowych zabawek pozostawionych przez Kacpra.

Wdrodze do pracy było jeszcze ciemno, może dlatego, że zbierało się na burzę. Jechałem jakieś czterdzieści na godzinę, nie chciałem szybciej, ciężko było mi się skupić przez ból głowy, który jeszcze nie do końca chciał dać za wygraną. – Dojadę trochę później, ale przynajmniej dojadę –

pomyślałem. Osiedle było wyludnione jak nigdy. Po drodze zawsze mijałem panią Ermman, która biegła, pana Pruszkowiaka, który wyprowadzał swojego psa (zresztą traktował go lepiej niż rodzinę). Była też dwójka dzieciaków, które chodziły do szkoły, ale tego dnia ich nie zauważyłem. Przy niektórych domach zwykle widziałem ludzi szykujących się do pracy, ale nie tym razem...

Przejeżdżając przez całe osiedle, nie zauważyłem żywej duszy. Może trochę przesadzam, ale przypominał mi się wtedy Czarnobyl po wybuchu. Dopiero po pięciu minutach spostrzegłem jakąś parę obściskującą się na chodniku. Całe osiedle zamykało się wysokimi krzewami, aby widocznie nas ogrodzić, i nie zauważyłbym ich, gdyby nie jej suknia... Zaniepokoiłem się dopiero dziesięć metrów przed nimi. Wtedy zauważyłem, że kobieta, zamiast obściskować się z mężczyzną, szarpie się z nim. Zwolniłem, żeby zobaczyć, czy czasem jej nic nie zagraża. Nie byłem pewien, czy napastnik chce coś jej zrobić, czy zwyczajnie para się kłóci.

Mężczyzna był rośli, w średnim wieku. Ubrany zwyczajnie - czarna bluza bez kaptura i dżinsy. Krótko obcięte włosy, ogolony, ale nie „dresiarz”, można było zauważyć, że zadbany. Mimo że był na naszym osiedlu, nie znałem go. Sprawiał wrażenie osoby, która właśnie szła do pracy. Zwolniłem jeszcze bardziej i wtedy zauważyłem nóż w jego ręku! - Kurwa - powiedziałem na głos, zatrzymując się przy krzakach tak, aby mnie nie zauważył. Stałem na chwilę, aby sprawdzić, czy spojrzy w moją stronę. Nie byłem pewien, czy mnie usłyszał. Rozejrzałem się dookoła,

czy kogoś nie ma w pobliżu. Zdziwiłem się, że nikt go dotąd nie zauważył o tej godzinie. Rzucił kobietą, jakby była szmacianą lalką. – Co tu zrobić? – pomyślałem, trzęsąc się i zaciskając żuchwę.

Nie miałem zamiaru blisko podchodzić. Wiedziałem, że nie dam sobie z nim rady, nie umiałem się bić, ale było zbyt mało czasu, aby czekać na policję. Miałem świadomość, że przyjadą dopiero za jakieś pół godziny, jednak postanowiłem zadzwonić z nadzieją, że uda im się zjawić szybciej. Nie widziałem twarzy tej kobiety. Jeśli była z naszego osiedla, to na pewno ją znałem, starałem się ją rozpoznać, ale nie byłem w stanie. Miała na sobie długą do kostek satynową suknię z odkrytymi ramionami. Czerwony kolor dodawał jej wdzięku, długie blond włosy – urody, a sińce na rękach, które zdołały się tak szybko ukazać, świadczyły o tym, jaka jest słaba i bezsilna. Przełknąłem kolejny raz z rzędu ślinę, rozglądając się i spoglądając nerwowo na zegarek. – Dalej cholera, gdzie jesteście – szeptałem z nadzieją, że przyspieszę przyjazd policji.

Patrząc na nieuczciwą walnę, nie wytrzymałem, otworzyłem bagażnik i w tym bałaganie zacząłem szukać klucza do kół. Robiłem to coraz szybciej, mobilizowany płaczem kobiety. – Kurwa, gdzie on jest... – mówiłem, sam się poganiając. – Czemu nikogo nie ma? Gdzie jest policja? – nie przestawałem mówić. Oprawca rzucił kobietę na chodnik, a ta przestała się bronić. Nadal nie mogłem ujrzeć jej twarzy. Mężczyzna zasłonił ją tak, jakby wiedział, że na

nią patrzę. Szedłem między krzakami, starając się nie robić hałasu, kiedy ten uderzył ją na tyle mocno, aby straciła przytomność. Zacisnąłem nerwowo zuchwę. Towarzyszył mi przeraźliwy szum spowodowany ciszą...

Raz

Dwa

Trzy...

Nie pomagało, nerwy udzielały się jeszcze bardziej.

Cztery...

Przełknąłem ślinę, ściskając mocniej klucz, aby przypadkiem przez pot nie wyslizgnął mi się z dłoni.

Pięć...

Omijając krzewy, które dzieliły ulicę od chodnika, zbliżałem się do parku, przy którym w krzakach stał mężczyzna. Zastygłem w bezruchu jakieś pięć metrów przed nimi. Wiatr ucichł, a puls stawał się coraz głośniejszy, niczym uderzenia bębna. Ścisnąłem kurczowo klucz, gdy mężczyzna wbił w ciało kobiety jakiś szpikulec. Zamarłem na chwilę, słysząc przeraźliwy dźwięk przekłuwanej skóry, pęknięcie wywołujące ciarki na całych plecach. Nie byłem w stanie się ruszyć. - Zabij gnoja, niech skurwiel zdycha - pomyślałem, mobilizując się. Zacisnąłem zuchwę pięciokrotnie, po czym, w przypiływie nerwów, zamiast ruszyć na oprawcę... upuściłem klucz na chodnik. Miałem wrażenie, że zaraz zemdleję. Zrobiło mi się ciemno przed oczami, kiedy mężczyzna spojrzał w moją stronę z tym przeraźliwym i twardym wyrazem twarzy, przy dźwiękach odbijanego o beton klucza.

- I co teraz? - pomyślałem...

Nie pobiegł w moim kierunku. Odwrócił się i spojrzał w stronę kobiety. Miałem okazję uciec. Biegłem, ile sił w nogach do samochodu, usprawiedliwiając się, że kobieta na pewno już nie żyje.

- Kto to kurwa był? - zacząłem mówić do siebie.

Dobiegając do samochodu, nie zdążyłem się nawet zatrzymać. Dopiero uderzając w drzwi, otworzyłem je i wskoczyłem do środka. Wyciągnąłem kluczyki, oglądając się za siebie. Mężczyzna, przewracając się o jeden z krzewów, ruszył w moją stronę jak taran. W nerwach zacząłem odpalać samochód kluczem od domu. - Cholera... - wykrzyknąłem, patrząc, co właśnie robię. Zaciskając zuchwę, doszedłem do siebie na tyle, aby sięgnąć po prawidłowy. Odpaliłem samochód i wrzuciłem wsteczny bieg.

Wiedziałem, że go nie zabiję, ale udało mi się go chociaż potrącić. Byłem pewien, że w takim stanie nie zdoła uciec przed policją. Niestety, tylko tyle mogłem zrobić. Szybkim ruchem wrzuciłem jedynkę i ruszyłem, paląc gumę. Jechałem tak szybko, na ile pozwalało mi moje stare pudło. Mijając kolejne skrzyżowania, nabierałem pewności, że już mi nic nie grozi. Mimo to nie mogłem zwolnić, nie umiem powiedzieć dlaczego, ale nie byłem w stanie. Jechałem spanikowany, zaciskając zuchwę i co jakiś czas wycierając ręce od potu.

Na liczniku miałem już sto trzydzieści, zamknąłem oczy... Otwierając je po chwili, nie mogłem złapać tchu,

jakbym zapomniał jak się oddycha. Poczułem się, jakbym dostał w twarz lodowatą wodą. Przed oczami nagle pojawił się zakręt, którego nie byłem w stanie ominąć. Wcisnąłem w podłogę hamulec, paraliżując uszy piskiem opon. Zacisnąłem żuchwę i puściłem kierownicę, aby ochronić głowę przed uderzeniem. Otworzyłem szeroko usta, delektując się ostatnim haustem powietrza. Przypomniałem sobie o żonie i synku, nie chciałem ich zostawiać, za bardzo ich kochałem... Pamiętam jedynie drzewo przede mną i pas, który wisiał bezwładnie obok. Dziwiło mnie, ile rzeczy zdołałem zauważyć przed uderzeniem. Tak, jakby czas stanął w miejscu. Były to chwile, gdy myślałem tylko o rodzinie.

Nie spodziewałem się, że właśnie tak skończę... Chociaż w ogóle nie spodziewałem się, że w tym wieku będę się musiał rozstać z życiem. Myślałem, że umrę gdzieś w fotelu, ze starości. Wyląduję w całości w trumnie, a nie po wypadku pozszywany „mniej więcej” albo co gorsza spalony, bo nie będzie się dało ze mnie już niczego zrobić. Spokojna śmierć, gdy już zdążę spłacić kredyt, zapewnię dobry byt rodzinie – tego chciałem. Nie czułem żadnego bólu, nie czułem uderzenia, nie czułem niczego, nawet nie wiedziałem, kiedy to się stało. Po prostu zamknąłem oczy i już...

...i już...

Nie chciałem tego...

Oczy otworzyłem dopiero w białym pomieszczeniu. Wiedziałem już, że nie jestem w piekle. Nie byłem w stanie otworzyć ich do końca. Było za jasno. Światłość, jaka była z sufitu, była za mocna. Nie wiedziałem, jak wygląda czyściec, zresztą kto z was wie? Zdążyłem się rozejrzeć dookoła, mrużąc oczy. Wszystko było za jasne, aż chciało się rzygać. Moje oczy nie zdążyły się przyzwyczać, kiedy weszła pielęgniarka. - Panie doktorze, obudził się! - krzyknęła, powodując u mnie cholerny ból głowy. - Panie doktorze... - krzyknęła ponownie, wychodząc na korytarz...

- Ja żyję? - zapytałem, rozglądając się dokładnie.

Nikt nie odpowiedział. Byłem w szpitalu, musiałem przeżyć ten wypadek. Zegarek nad drzwiami pokazywał jedenastą dwadzieścia, ale nie miałem pojęcia, jak długo już tam leżałem. Miałem rękę w gipsie i owiniętą bandażem głowę. Usta miałem suche, z problemem je otworzyłem, żeby się odezwać. Słyszałem odgłos gęstej, odklejającej się śliny.

- Przepraszam... jest tu ktoś? - zapytałem zmęczonym głosem, którego nie sposób było zrozumieć.

Próbowałem tak jeszcze kilka minut, dopóki nie przyszła pielęgniarka z lekarzem. Pierwsze, co rzuciło mi się w oczy, to jego szeroki uśmiech.

- Dzień dobry, panie Dorianie, cieszę się, że pan do nas wrócił. Był pan w śpiączce dwa tygodnie, ale wszystko już jest znacznie lepiej. Pana wyniki są zadowalające i nie powinien pan u nas długo zabawić. Jak się pan czuje?

- Jakbym miał wypadek - odpowiedziałem zdezorientowany ze swoim suchym poczuciem humoru.

- Miał pan wiele szczęścia. Dobrze, że nie zapiął pan pasów, to uratowało panu życie. Wyleciał pan przez szybę przed tym, jak samochód zaczął dachować. Jak głowa? Boli?

- Nie boli, jestem tylko trochę zaspany. A co z tą kobietą? Żyje?

- Jaką kobietą? Jechał ktoś z panem?

- Z tą, którą ktoś dźgnął szpikulcem. Żyje?

- Nie było żadnej kobiety, jechał pan do pracy, nie wyrobił pan na zakręcie... Pamięta pan? - powiedział lekarz trochę zdezorientowany pytaniem.

- Dzwoniłem na policję, musiała być kobieta, widziałem ją. Jakiś facet zaczął się z nią szarpać i dźgnął ją szpikulcem, chciałem jej pomóc. Gdzie ona jest? Musieliście jej pomóc...

- Powtarzam panu, że nikogo nie było. Nie było takiej sytuacji, jechał pan samochodem. Być może miał pan jakiś sen. Musiał pan połączyć te fakty...

Zamarłem na chwilę, nie wiedziałem, jak się zachować. Może faktycznie to był sen, ale taki realistyczny? Może to morderca ukrył ciało? Nie chciałem wyjść na niezrównoważonego, więc postanowiłem przytaknąć lekarzowi. Nie miałem tam zresztą ochoty zostawać ani chwili dłużej, więc nie chciałem wzbudzać podejrzeń, że coś jest ze mną nie tak. Nie lubiłem szpitali, śmierdziało tam starymi ludźmi i przeterminowanymi lekami. To było idealne miejsce jedynie dla czekających na śmierć i ćpunów.

- Amelia wie, gdzie jestem? - zapytałem, zmieniając temat.

- Pana żona? Tak, wie, już do niej dzwoniliśmy, niedługo przyjedzie. Wie, że się pan obudził.

- Kiedy będziecie mogli mnie wypuścić?

- Wszystko było do tej pory w porządku, więc myślę, że do końca tygodnia powinien pan wyjść. Zrobimy kilka badań, tak na wszelki wypadek. Jeśli nic nie wykażą, nie będziemy pana przetrzymywać.

- Do końca tygodnia? Jaki jest dzisiaj dzień?

- Poniedziałek, panie Dorianie...

- Dziękuję, mógłbym zostać teraz sam? Chciałbym zebrać myśli, przepraszam, ale nieswojo się czuję...

- Dobrze, przyjdę do pana trochę później sprawdzić, jak się pan miewa. Aha, to, jak się pan teraz czuje, jest jak najbardziej naturalne.

- Kurwa... co się stało? - zapytałem, licząc, że poznam odpowiedź. Byłem pewien, że widziałem tę kobietę przed moim wypadkiem, walczyła, szarpała się ile sił, chociaż ręki nie dałbym sobie uciąć. Chociaż dziwne było to, że w ogóle nie krzyczała. Przecież normalnie człowiek powinien wyć jak zarzynane prosię. Może faktycznie znowu miałem głupi sen. Nie wiem, nie mogłem się skupić, może przez te tabletki przeciwbólowe, którymi mnie naszpikowali. Naszpikowali?... hmm... może faktycznie źle się wyraziłem, tabletki brałem już przez jakiś czas.

Pamiętam, jak kilka lat temu zacząłem miewać przerażające bóle głowy. Wtedy właśnie udałem się do

mojego lekarza rodzinnego, który coś mi zapisał. Jakieś nowe, dopiero wchodzące na rynek kapsułki, które czyniły cuda. Brać mogłem tylko jedną dziennie, czasem (ale bardzo rzadko) naginałem zasady i brałem dwie, no... może nawet i trzy, ale nie więcej. Trzy w zupełności wystarczały. Nie mam do końca pewności, ale chyba właśnie przez tabletki nabawiłem się tego tik...

Jak już mówiłem, jakieś pięć lat temu (dokładnie nie pamiętam, kiedy zacząłem je brać), po miesiącu stosowania, w przyпадку nerwów, stresu i innych podobnych spraw, zacząłem zaciskać pięciokrotnie zuchwę. Początkowo nie zwróciłem na to uwagi. Dopiero gdy Amelia wspomniała mi o tym, zacząłem się zastanawiać. Każdy normalny, racjonalny, mądry człowiek poszedłby do lekarza i o tym opowiedział. Szkoda, że do takich osób nie należę. Widziałem, że tabletki działają, więc nie miałem zamiaru tego zmieniać. Wreszcie mogłem spokojnie żyć, a lekarz pozbawiłby mnie tego spokoju. Nie mówiąc nic, ja byłem zadowolony, lekarz był zadowolony i było wszystko w porządku. Zabawne, że do dzisiaj nie pamiętam ich nazwy, meta... coś tam, ale to jest akurat nieważne, jeszcze byście się uzależnili.

Gdy Amelia zauważyła, po czym mam ten tik, nie przyznałem się, że je łykam. Nie doprowadziłoby to do niczego dobrego. Trułaby mi cały czas dupę, że mam przestać i sprawdzić, czy jakieś inne środki mi pomogą. Nie dałaby mi żyć. Tik to jedna sprawa, można z tym żyć, ale czy zażywanie ich tak długo mogło doprowadzić do

omamów? Sam nie wiedziałem, co myśleć o kobiecie w czerwonej sukni, nigdy czegoś takiego nie przeżyłem. Była to wizja czy sen podczas śpiączki? Bałem się, że może to być wizja, taka jak w pracy, chociaż może to przez leki...

W pokoju szpitalnym nie zostałem długo sam. W ciągu pół godziny przyjechała Amelia. Wbiegła do pokoju, od razu rzucając się na mnie z tęsknoty. Było widać, że bardziej się tym wszystkim przejmowała niż ja sam. Przyszła bez Kacpra, tłumacząc, że nie chciała, aby widział mnie w takim stanie. Wypytyując co chwilę, jak się czuję, wpatrywała się w moje oczy, chociaż ja sam, ogłupiały tym wszystkim, spoglądałem co chwilę w inny punkt. Czasem aż czułem się nieswojo, gdy patrzyła na mnie z litością i żalem, jakbym już miał nie wrócić do zdrowia. Ucieszyłem się, że do mnie przyszła, nie chciałem zostawać sam na sam z moimi myślami. Po wypadku kochana Amelia dała się przekonać i przyniosła mi jeszcze jedną paczkę moich tabletek. Nie mówiłem o nich lekarzowi, musiałbym zostawić je „pigule”, która zaczęłaby mi je dawkować, a jedna tabletką dawno przestała mi pomagać.

Kornelia - drobna blondynka o ciemnych oczach, kobieta lubiąca elegancję, ale bez przesady. Włosy najczęściej rozpuszczone, oczy umalowane. Niejeden facet się za nią oglądał, przyznam zresztą, że ja też, ale nie mówcie o tym mojej żonie. Czasem zdarzało mi się na nią spojrzeć, ale nie myślałem o zdradzie. Usta pełne, umalowane najczęściej czerwoną szminką. Gdy śmiejąc się, zaciskała mocniej

wargi (robiąc delikatny dzióbek), wyglądała zdumiewająco dobrze. Być może zwracałem na nią uwagę, bo była podobna do Amelii. Dowiadując się przypadkiem od żony, że Kornelia jest sama, byłem zdziwiony, a zarazem ciekawy, co może być z nią nie tak, że jeszcze nikogo nie ma. Do Amelii przychodziła jakieś dwa - trzy razy w tygodniu, aby ta nie czuła się samotna. Czasem zostawała sama z Kacprem, żeby Amelia mogła spokojnie mnie odwiedzić, bądź przychodziła sprawdzić, jak się miewam.

Staraly się przychodzić codziennie, zasypując mnie jakimiś przekąskami. Amelia była straszną zazdrośnicą, dlatego dziwiłem się, że zgodziła się na pomoc mojej koleżanki z pracy. Gdybym spotykał się z kimś, a ta dowiedziałyby się o tym, nie miałbym po co wracać do domu. Dlatego też nie wiedziałem wcześniej, że Kornelia jest sama, w pracy nie było na to czasu. Fakt, trzymaliśmy się razem, ale rozmawialiśmy tylko o obowiązkach. Miło mi się zrobiło, gdy właśnie ona mnie odwiedziła, uwielbiałem jej uśmiech. Podczas jej wizyt było mi przyjemniej (choć nie powinienem tego mówić). Wolałem, kiedy właśnie ona przychodziła, chociaż poza pracą dopiero w szpitalu zaczęliśmy się widywać (nie licząc przypadkowych spotkań na mieście). Nie patrzyła na mnie z żalem (jak Amelia), robiła to bardziej z troską. Była to subtelna różnica, ale czułem się wtedy lepiej. Spokojnie, nie chodzi mi tu o jakieś romansidła, możecie czytać dalej.

Tydzień rozpieszczania przez Amelię i Kornelię zleciał mi dość szybko. Przychodziły do mnie na zmianę, przynosząc ciasta i umilając czas. Lekarze byli zadowoleni z mojego stanu zdrowia. Oprócz złamanej ręki, nie było dodatkowych problemów, więc pozwolili mi wrócić do domu we wcześniej ustalonym terminie. Cały tydzień w szpitalu był dla mnie katorgą, szczęściem w nieszczęściu była śpiączka... Pamiątką po wypadku pozostała jedynie ręka w gipsie, musiałem się z nią męczyć jeszcze jakieś dwa tygodnie. Kiedy Amelia została sama z Kacprem, nie miała wiele czasu na spędzanie go ze mną. Tak też było, kiedy miałem już wyjść. Zadzwoiła do mnie i delikatnym głosem zaczęła przeproszać, że nie może mnie odebrać. Kacper był przeziębiony i trochę marudził, dlatego postanowiła poprosić o to Kornelię, co mi zresztą nie przeszkadzało. Lubilem być rozpieszczany, chyba jak każdy, a Kornelii wychodziło to jak mało komu.

Kornelia przyjechała po mnie późnym popołudniem. Zapewniałem je obie, że dam radę wrócić sam, ale chyba za bardzo się o mnie bały. Przywiozła świeże ubranie, które przygotowała mi moja żona.

- Zabieram cię stąd! - powiedziała, podnosząc delikatnie głos i uśmiechając się przy tym. - Przepraszam, ale nie mogłam wcześniej, dopiero skończyłam pracę. Już zaczynają się dopytywać, kiedy wrócisz.

- Oni? Dbają przecież tylko o siebie, chyba że szykują na mnie jakąś aferę - odparłem zrzędliwie.

- Daj spokój, po prostu się martwią, przecież nikt nikomu nie życzy śmierci. Tu masz ciuszki, pomóc ci się ubrać?

Spojrzałem na nią lekko zdezorientowany. - Czy ja się przesłyszałem? - zadałem sobie pytanie. Patrzyła na mnie, jakby czekała na odpowiedź. - Dam sobie jakoś radę - odrzekłem, licząc, że o to właśnie chodziło.

Na wszelki wypadek zostawiłem Kornelię samą w pokoju i poszedłem się przebrać do łazienki. Normalnie zrobiłbym to przy niej, ale zbiła mnie trochę z tropu swoim pytaniem. Lekarz, wraz z wypisem, dał mi zwolnienie z pracy. Musiałem jeszcze odpoczywać jakieś dwa tygodnie, chociaż nie miałem na to ochoty. Gdy dowiedziałem się o zwolnieniu, starałem się jakoś dogadać z doktorem, aby mi go nie dawał, ale nie dało rady, byłem skazany na odpoczynek w domu. Wywalczyłem chociaż samodzielne wyjście ze szpitala, nie miałem zamiaru siedzieć na wózku. Samochód czekał tuż pod wejściem, a pielęgniarka pilnowała, żebym od razu do niego wsiadł. O tym, abym nie wypuszczał się nigdzie o własnych siłach, wiedzieli już chyba wszyscy, nawet sąsiedzi. Pierwsze, co zrobiłem po wejściu do auta, to zapiąłem pasy, to samo zresztą kazałem zrobić Kornelii.

- Kornelia... - zawołałem, łapiąc ją za ramię. - Rozmawiałaś z Amelią o samochodzie?

- Którym? Tym twoim? - zapytała, upewniając się. Zauważyłem, że wiedziała, o jaki chodzi i o co zapytam, ale wydaje mi się, że nie chciała o tym rozmawiać...

- Tak, moim, zawieź mnie tam. Proszę... Muszę zobaczyć, co z niego zostało, chcę wiedzieć, ile miałem szczęścia, i nie udawaj zdziwionej. Wiedziałaś przecież, że o to poproszę...

- Nie mogę, obiecałam Amelii, że od razu cię przywiozę. Nie obraź się, ale wyglądasz jak wrak człowieka. Czy myślisz, że jak zobaczysz samochód, będzie ci lepiej? Nic z niego prawie nie zostało, trafił na złom. Co chcesz w nim oglądać? Daj spokój...

- Daj spokój!? Daj spokój!? Ty daj spokój... Jak mnie traktujecie? Patrzycie na mnie, jakbym był niepełnosprawny. Czy mam coś z głową? Już nie mogę robić tego, na co mam ochotę? Nie chcę się schlać, nie chcę skoczyć na bungee, nie chcę się zabić, chcę tylko zobaczyć mój pieprzony samochód!!! Chociaż ty mnie zrozum, chcę wiedzieć, ile miałem szczęścia, chcę wiedzieć, jak to wszystko wygląda, chcę wiedzieć, czy wszystko jest tak, jak to widziałem wtedy. Musisz mi pomóc! Jak nie ty, to kto?

- Nie mogę, Amelia mnie zabije...

- Ona się nie dowie, przecież cię nie wydam. Pomożesz mi? - zapytałem, trzymając jej ramię. Jeśli mnie tam nie zabierzesz, wychodzę, sam dowiem się, dokąd go odholowali.

Kornelia przełknęła nerwowo ślinę, patrząc na przemian na mnie i na stacyjkę. Wiedziałem, że chce mi pomóc, że chce zrobić dla mnie jak najwięcej, widziałem to w jej oczach. Ale nikomu nie mów... - powiedziała, chwytając za kluczyk. Odpalając samochód, uśmiechnęła

się jeszcze przez chwilę, spoglądając na mnie. Odwzajemniłem uśmiech. - To niedaleko - powiedziała, uspokajając mnie.

Złomowisko było na obrzeżach miasta, tak samo zresztą jak siedem pozostałych. Od szpitala dzieliły je zaledwie cztery kilometry. Nie potrzebowali dużo miejsca, znajdowały się tam jedynie samochody, które prasowali dość często. Zwożone były wszystkie auta po wypadkach. To był taki mały układ z policją za małe podziękowanie w formie pieniężnej. Policja dawała właścicielowi złomowiska cynk, gdy samochód nie nadał się już do jazdy. Oficjalnie oczywiście nikt o niczym nie wiedział. Nikt nie chciał narażać się policji, każdy udawał, że wszystko jest w porządku.

Nie było oczywiście żadnych samosądów, czasy mafii się skończyły, ale wszyscy obawiali się kontroli albo mandatów. Oprócz pojazdów po wypadkach, oddawane tam były również tak zwane „dziadki” - samochody, które nie nadawały się ani do jazdy, ani na sprzedaż. Oddając je, zawsze było chociaż trochę kasy za złom. Miałem wiele szczęścia, przyjechałbym jakiś tydzień później i samochodu by nie było. Prasa włączana była średnio co trzy tygodnie, gdy pracownicy zebrali wystarczającą liczbę samochodów. Trochę to trwało, w końcu nie byliśmy takim dużym miastem.

Do samochodu zaprowadził nas jeden z pracowników. Początkowo nie byłem w stanie rozpoznać auta, częściowo

oszabrowany, zgnieciony kawał złomu, nie nadający się już do niczego. Przedniej maski nie było wcale. Z opowiadań wynikało, że musiałem ją zgubić podczas dachowania. Drzwi od strony kierowcy wpadły do środka. Gdybym miał zapięte pasy, byłoby już po mnie. Szczerze mówiąc, miałem gdzieś, jak on teraz wygląda, bardziej chodziło mi o tył. Nie został naruszony i można było po nim jeszcze poznać, że to samochód. Gdy leżałem w szpitalu, po głowie cały czas chodziła mi sytuacja z tą kobietą. Aby jej pomóc i obezwładnić napastnika, wyciągnąłem z bagażnika klucz do kół, doskonale to pamiętałem. Nie poszedłbym tam przecież z gołymi rękoma. - Muszę go otworzyć - pomyślałem, łapiąc za klapę. Szarpiąc ją kilkakrotnie, czułem, że ból głowy zaczyna narastać. - Otwieraj się - mówiłem do siebie przez zaciśnięte zęby. - Noo dawaj... Męczyłem się tak przez jakiś czas, zwracając uwagę pracownika. Nie byłem w stanie otworzyć klapy, a z jednej strony była wgnieciona, więc nie dało się otworzyć bagażnika w tradycyjny sposób...

- Coś nie tak? - zapytał dociekliwie jeden z pracowników złomowiska.

- Tak... coś nie tak, muszę otworzyć bagażnik - odpowiedziałem lekko podirytowany, mrużąc oczy z bólu. Niech pan coś przyniesie, łom albo coś w tym stylu, a nie tylko patrzy...

- A czego pan szuka?

- To jest mój samochód i chcę coś sprawdzić. Mogę przeszukać moje rzeczy?

- To pan przeżył wypadek? - zapytał, robiąc minę, jak na debila przystało.

- Tak, przeżyłem wypadek, co w tym dziwnego? Idzie pan po łom czy mam sam coś znaleźć?

Kornelia stała z boku ogłupiała całą sytuacją, nigdy nie widziała mnie w takim humorze. Zastanawiała się, czy może podejść. Przypuszczała, że zostanie potraktowana z taką samą opryskliwością jak mężczyzna. Pracownik, wycierając ręce w brudne już spodnie, poszedł po łom, a ja w tym czasie przestałem na chwilę walczyć z samochodem i złapałem się za głowę. - Kurwa, ale boli - pomyślałem, opierając się o klapę. Długo nie musiałem czekać, mężczyzna po kilku sekundach wrócił z łomem, prosząc, abym się przesunął. Jakbym sam nie mógł otworzyć bagażnika. Jakbym miał sobie zaraz zrobić krzywde.

- Ja się tym zajmę - powiedział, wkurzając mnie jeszcze bardziej.

Pracownik złomowiska, zaciągając wydzielinę z nozdrzy, wbił łom w połączenie klapy i boku samochodu, tak aby wyprostować tył. Trochę było z tym pracy, starał się wyprostować każdą stronę chociaż na tyle, żeby mógł ją podnieść. Mówił coś do siebie lekko wkurzony, jednak na tyle cicho, że stojąc metr od niego, nie byłem w stanie go usłyszeć. Po uporaniu się z blachą, sięgnął po śrubokręt i młotek i zaczął wbijać zamek do środka. To było najłatwiejsze, przyłożył płaski śrubokręt w miejsce, gdzie wkłada się kluczyk i uderzył stanowczo trzy razy młotkiem. Kłapa delikatnie się uchyliła.

Odsunąłem mężczyznę jednym ruchem ramienia i otworzyłem bagażnik. Szperałem w nim kilka chwil, przedmioty, które tam miałem, były porozrzucane. Dokładnie wszystko przejrzałem dwa razy, nie było klucza...

- Kurwa, to prawda... - powiedziałem, łapiąc się za głowę. Gdzie jest klucz!? Wariata chcecie ze mnie zrobić!!!
- wykrzyczałem, strasząc wszystkich dookoła.

Ból głowy był coraz bardziej męczący. Odsunąłem się od samochodu, klękając z osłabienia. Kornelia była w szoku, schylając się, spojrzałem na nią. Stała jak wryta, nie mając pojęcia, jak zareagować. Ból był nie do wytrzymania, nigdy się tak nie czułem. Paraliżował mnie od środka, nie byłem w stanie myśleć. Kornelia zastanawiała się, czy podejść.

- Dorian... - zawołała, próbując pomóc mi jakoś dojść do siebie.

Przez natłok myśli rozboleła mnie jeszcze bardziej głowa, nie mogłem przestać się nad tym zastanawiać...

- Dorian... - zawołała ponownie z nadzieją, że się odezwę.

- Po co ja tu przyszedłem? Wiedziałem przecież, że sobie z tym nie dam rady... Mogłem pojechać do domu, a nie bawić się w detektywa - pomyślałem.

- Dorian... słyszysz mnie? - zapytała, łapiąc mnie za ramię...

Odwróciłem się szybkim ruchem, zaciskając zuchwę pięciokrotnie.

- Co?! - powiedziałem przez zaciśnięte zęby, parszkając przy tym na nią niechętnie.

- Co jest? Wszystko w porządku? - zapytała troskliwie.

- Tak, a nie widać?! Wszystko w jak najlepszym, kurwa, porządku... Gdzie moje tabletki?!

Nie chciałem tak na nią naskoczyć, ale przez ten ból nie umiałem inaczej. Owładnął moją głowę, nie pozwalając mi myśleć o niczym innym.

- Dorian... chodźmy do domu, odwiozę cię, musisz odpocząć...

Ból zaczął się nasilać, nie mogłem wytrzymać. Kucnąłem, łapiąc się za głowę. - Kurwa! Nie wytrzymam - wykrzyknąłem. - Chyba tabletki przestały działać, albo ten samochód... może to przez niego - zacząłem się usprawiedliwiać. Przed przyjazdem tutaj czułem się dobrze. Może to wszystko przez to, że zobaczyłem ten samochód?

- Są w mojej torbie, boczna przegródka.

Kornelia pobiegła do samochodu po tabletki przeciwbólowe, których miałem jeszcze mały zapas, i dała mi jedną, przeciskając przez usta.

- Masz... to ci dobrze zrobi - powiedziała przestraszona. - Zaraz będzie lepiej, zaraz ci pomoże...

Pomagając mi wstać, zabrała mnie do auta.

- Nie ma klucza, nie ma pierdolonego klucza - powiedziałem, odurzony bólem i częściowo już tabletkami.

- Wracamy do domu - rzekła, próbując mnie uspokoić.

Nie byłem w stanie powiedzieć jej konkretnie, o co chodzi. Mówiłem cały czas jakimiś półsłówkami, tak że nawet mnie było ciężko załapać, co chcę powiedzieć. Cały czas mamrotałem. Kornelia kiwała głową tak, jakby mnie

słuchała, chociaż chyba bardziej skupiona była na muzyce, która właśnie leciała w radiu. Musiałem tam wrócić sam, obejrzeć samochód dokładnie. Wydawało mi się, że nie widziałem klucza, ale pewności nie mam, musiałem temu poświęcić więcej czasu. Przecież mógł gdzieś wpaść! O ile dobrze pamiętam, napastnik w ostatniej chwili czymś we mnie rzucił. Nie miałem pojęcia czym, ale chyba trafił w zderzak. Mam nadzieję, że w niego trafił, utwierdziłoby mnie to tylko w przekonaniu, że to była prawda.

Im dalej od złomowiska byliśmy, tym spokojniejszy byłem. Raz, dwa, trzy, cztery, za piątym zaciśnięciem zuchwy było już wszystko dobrze. Po zniknięciu z pola widzenia złomowiska, głowa przestała mnie boleć i znowu wróciły myśli o tajemniczej kobiecie. Staralem się jakoś je zająć, obserwując drzewa przy chodnikach, rodziny spacerujące po tych samych chodnikach, krzewy, też przy chodnikach i... kurwa, znowu to samo... i kobietę, która leżała przy tym chodniku. Spróbowałem jeszcze raz, teraz zwracałem uwagę tylko na samochody. Mijaliśmy jedno skrzyżowanie za drugim. Myślałem o tym, że jadę samochodem, jak fajnie jest jechać samochodem, nic nie robię, nie myślę, tylko jadę samochodem, mówiłem do siebie, zwracając uwagę Kornelii. Uśmiechnąłem się do niej pokazując że wszystko jest w należyтым porządku, a Kornelia udawała, że wie, iż jest wszystko OK.

Tylko mi się wydaje czy zaczynam wymyślać sobie na siłę tę historyjkę z kobietą? Staralem się wytłumaczyć wszystko racjonalnie, czasem jednak odnosiłem wrażenie,

jakbym dostał w głowę. Chociaż, teoretycznie, chory człowiek nie wie, że jest chory. Czyli jednak nie dostaje w głowę? Kurwa, usprawiedliwiam się, czyli może jednak... Wjeżdżając na moje osiedle, otworzyłem oczy szeroko i odblokowałem tę półeczkę w mózgu, która jest odpowiedzialna za logiczne myślenie. Gdyby to wszystko było prawdą, zostałyby jakieś ślady na osiedlu. Przecież po trzech tygodniach powinno coś zostać, musiało coś zostać!

Dobrze, że dojeżdżaliśmy już do domu, bo nie dałbym rady dłużej tak myśleć. – Przyda mi się odpoczynek, jutro się tym zajmę – pomyślałem.

Wjazd do mojego domu wyglądał jak zawsze, czyli kilka zabawek porzucanych tak, aby nie było za łatwo dojść do drzwi. Służyły one chyba jako zabezpieczenie przed potencjalnymi złodziejami. Dojście do drzwi zajęło mi trochę czasu. Przy wejściu od razu przywitał mnie Kacper, wtulając się we mnie z płaczem. – Myślałem, że już nie wrócisz – powiedział łamliwym głosem. Nie chcielibyście tego usłyszeć od swojego dziecka. Przytulił się do mnie na tyle mocno, że zaczęły mu drżeć rączki z przemęczenia. Odwzajemniłem uścisk, nakrapiając go kilkoma łzami. Nie mogłem się opanować, emocje wzięły górę.

– Kocham cię, synku – powiedziałem, starając się nie okazywać słabości. Wiedziałem, że kiedy to zauważy, straci nad sobą kontrolę. Amelia przytuliła się do mnie tak, że aż zabrakło mi tchu. Dopiero wtedy dotarło do mnie, jak blisko było, aby już więcej ich nie zobaczyć. Straciłbym ich przez moją głupotę. Tabletki zaczęły mnie coraz bardziej

otumaniać. Czułem się jak na haju, a powieki stawały się ociężałe. Starłem się zachowywać tak, żeby nikt tego nie zauważył, nie miałem zamiaru wpaść w panikę.

Kornelia nie bardzo wiedziała, jak odnaleźć się w całej sytuacji. Może przez to, że nigdy tak naprawdę nie miała prawdziwej rodziny. Stała z boku z troskliwym spojrzeniem, jakby trochę żałowała, że na nią nikt taki nie czeka. Wróci do domu i witając się ze swoim psem, usiadzie przed telewizorem, nie wyduszając z siebie ani słowa. Uśmiechnąłem się do niej w ramach podziękowań za pomoc mojej żonie, ona odwzajemniła uśmiech, dodając trochę smutku.

- Wszystko wraca do normy - powiedziała pod nosem. - Tooo... może ja was zostawię samych - wydusiła głośniej, niezręcznie przeplatając dłonie.

- Dziękuję - odpowiedziała Amelia - bardzo mi pomogłaś.

Głowa zaczęła mnie boleć... Marzyłem jedynie o tym, aby gdzieś usiąść. Robiłem się coraz słabszy, ale starałem się nikomu tego nie pokazywać. Mrużąc oczy z bólu, niegrzecznie zacząłem wpychać Amelię do domu. Miałem nadzieję, że Kornelia tego nie zauważy. Starłem się robić to dyskretnie, chociaż jedynie mnie się wydawało, że było to niezauważalne. Mój wyraz twarzy zdradził wszystko. Nie powiedziały mi tego wprost, nie chciałyby chyba, abym poczuł się niezręcznie, dlatego udawały, że wszystko jest w porządku. Amelia, wchodząc do domu, przeprosiła przyjaciółkę za mnie i zaprosiła na jutrzejszy obiad.

Bez słowa poszedłem do salonu odpocząć na kanapie. Rzuciłem się na nią, zasłaniając ze zmęczenia twarz ręką.

- Jesteś głodny? Może chcesz coś do picia? - zapytała Amelia.

Nie zdążyłem odpowiedzieć, a ona już w kuchni coś dla mnie przygotowywała. Aby nie nudziłem się zbyt długo, Kacper zaprezentował mi kilka obrazków-laurek, czy jak to można nazwać. Pięć kartek z serdecznym podziękowaniem za powrót zajęło mi czas do podwieczorku.

- Kochanie, chcesz kawy? - zapytała Amelia z kuchni, jakby chciała nadrobić moją nieobecność.

- Kocie... chcę trochę spokoju. Myślałem, że chociaż tutaj zbiorę myśli, mogę?

Amelia weszła do salonu, spoglądając na mnie z dziwnym wyrazem twarzy. Sam nie wiedziałem, co on w ogóle znaczy. Szczęście, smutek, rozżalenie i gniew połączyły się w jedno spojrzenie, którego rozgryźć nie byłoby w stanie najlepszy psycholog.

- Kacperku, tata jest zmęczony, chodź do kuchni... - powiedziała, kiwając palcem w swoją stronę.

To niby nic takiego, ale po tym, jak to powiedziała, wystarczyło na cholerne wyrzuty sumienia. W salonie zostałem sam, Amelia zabrała Kacpra do kuchni, gdzie poczęstowała go deserem przygotowanym dla mnie. Mimo samotności i tak nie mogłem zebrać myśli. Z kuchni wydobywały się szepty, które - jak miała nadzieję Amelia - nie przeszkadzają mi. Kucnęła, patrząc w oczy Kacprowi i trzymając jego ramiona. Nie chciała powtarzać, więc

powiedziała bardzo powoli, tak aby Kacper zrozumiał, że to nie są żarty.

- Kochanie, tata miał ciężkie dni, jest jeszcze chory i musi dojść do siebie - mówiła, próbując wytłumaczyć wszystko Kacprowi.

- Wiem, mam, już mi mówiłaś...

- Tak, wiem, ale nie możesz hałasować. Bądź grzeczny, dobrze?

- Taaak mam, wiem... - odpowiedział lekko znudzony.

- Kochanie... - zawołałem Amelię.

- Coś się stało?

- Siedźcie sobie spokojnie, ja pójdę na górę, do sypialni...

- Na pewno? Przecież możesz tu siedzieć, z nami...

- Wracam już chyba powoli do siebie, ale jeszcze dziś posiedzę na górze w sypialni. Jutro będzie już wszystko w porządku - próbowałem uspokoić Amelię.

Chociaż cała sytuacja ją przerastała, nadal próbowała mnie zrozumieć. Nie spodziewała się, że po wyjściu ze szpitala nie będzie chciał spędzić z nimi pierwszego dnia. Przyznała mi się do tego po jakimś czasie, wyobrażała sobie to wszystko zupełnie inaczej. Powitanie mnie, uroczyste przyjęcie (oczywiście w gronie naszej trójki). Śmiechy, zabawy, dużo miłości i niezapomniany, szalony seks. O ile dobrze pamiętam, tak to właśnie miało wyglądać. Szkoda, że plany bywają zupełnie inne niż rzeczywistość. Gdyby można było napisać sobie scenariusz życia, wszystko byłoby bardziej proste...

Poszedłem na górę zebrać myśli, ciężkim krokiem wszedłem do pokoju i rzuciłem się na łóżko. – Dawno tu nie byłem – pomyślałem, uśmiechając się pod nosem. Wziąłem głęboki wdech i spojrzałem w sufit, rozkoszując się chwilą. Powietrze było takie uspokajające... Rozejrzałem się po pokoju, przypominając sobie każdy dobry moment, jak budowaliśmy ten dom, jak zastanawialiśmy się nad umeblowaniem. Po cholere mi scenariusz życia? W końcu jest ono idealne w swojej niedoskonałości. Życie takie właśnie musi być. Spojrzałem na okno, było zamknięte, westchnąłem z wysiłku i wstałem, aby je uchylić. W końcu rano (jak zawsze) musiałem je zamknąć. Zrobiłem to dla swojego spokoju. Wiem, że czułbym się dziwnie, gdybym rano go nie zamknął. – Jakoś to się nazywa, ale nie mam pojęcia jak. Kiedyś w telewizji słyszałem coś o nerwicy natręctw, ale lekarzem nie jestem. Kładąc się ponownie, spojrzałem w sufit. – Kurwa... Ja żyję... – pomyślałem, niedowierzając.

Patrząc na samochód, nie mogłem sam w to uwierzyć. Nie wiem, jak długo tam leżałem, straciłem poczucie czasu. Po jakiejś chwili zdołał mnie jedynie ściągnąć na ziemię ponowny ból, który stawał się coraz mocniejszy. Łapiąc się jedną ręką za skroń, drugą sięgnąłem do kieszeni po tabletki przeciwbólowe. Połknąłem kilka od razu. Chyba wziąłem trzy. Po piętnastu minutach leki zaczęły działać, a ja zrobiłem się senny. Powlokłem się resztką sił do szafy schować koszulę, którą miałem na sobie. Nie mogłem jej tak po prostu trzepnąć gdzieś w kąt. Przerzuciłem kilka

ubrań Amelii, jakieś dwie koszulki, koszulę w kratkę, miniówkę, czerwoną suknię, džinsy, aż w końcu trafiłem na swoją część szafy. Powiesiłem koszulę na pierwszym lepszym wieszaku należącym do mnie i położyłem się do łóżka. Ból przeszedł momentalnie, a ja poczułem się jeszcze słabszy. Muszę skończyć z tabletkami - pomyślałem, zaciskając żuchwę.

- Kurwa!!! To ta suknia - wymamrotałem, zamykając oczy.

4

W objęciach obłądu

Zaciągając łapczywie powietrze, jakby należało tylko do mnie, przeciągnąłem się leniwie, otwierając zaspane jeszcze oczy. Promienie słońca pieściły moją twarz, powoli mnie wybudzając. Czułem się wspaniale, nie martwiąc się, co mnie czeka w pracy. Łóżko nie chciało mnie z siebie wypuścić, kusząc swoją wygodą i ciepłem. Ja natomiast patrzyłem w sufit, budząc się powoli z letargu. Spojrzałem na miejsce, gdzie powinna leżeć Amelia, nie było jej.

- Na pewno przygotowuje Kacpra do szkoły - pomyślałem, wzdychając. Byłem zrelaksowany, spokojny i co najważniejsze - szczęśliwy, że jestem już w domu. Po jakichś dziesięciu minutach leżenia i myślenia o niczym, usłyszałem hałas dobiegający z kuchni. Kacper biegał po niej, śpiewając jakiś hit z radia. - Chwilo - trwaj wiecznie! - pomyślałem, zrzucając kołdrę na bok i spoglądając na okno. Satynowy materiał ześlizgnął się z łóżka, częściowo upadając na podłogę. Nie byłem przyzwyczajony do wstawania o tej godzinie, dziwnie się czułem wylegując się

bez powodu w łóżku, jakby życie przeciekało mi przez palce. Rozejrzałem się jeszcze przez chwilę dookoła sypialni, spoglądając ponownie w stronę okna. Chciałem zapamiętać ten obraz na dłużej. Patrząc na okno, dopiero po kilku sekundach zauważyłem, że było zamknięte... Przetarłem ospałe jeszcze oczy i spojrzałem ponownie, zastanawiając się jak je zostawiłem poprzedniego dnia. Zwróciłem uwagę na ramę i zasłonę. Okno było zamknięte. Zacisnąłem żuchwę pięciokrotnie i podpierając się złamaną ręką, wstałem z łóżka. Podnosząc się, spojrzałem ponownie na okno, próbując sobie przypomnieć, czy może po prostu zapomniałem je uchylić wieczorem. Nie dałbym sobie ręki odciąć, ale wydaje mi się, że to zrobiłem.

- Cholera!!! - krzyknąłem, przykładając z bólu do klatki piersiowej złamaną rękę.

Podchodząc do okna, zastanawiałem się, czy faktycznie mogłem go nie uchylić.

- Nie powinienem brać tych tabletek, na pewno jakoś wytrzymałbym ból. - Nie byłbym taki śpiący i pamiętałbym o oknie - pomyślałem. Oparłem się o jego ramę, wpatrzony w ogród. Stałem zamyślony, zastanawiając się, jak było wieczorem, jakbym nie miał żadnych innych problemów. Być może była to ucieczka od poważniejszych spraw. - Poprzedniego dnia byłem zmęczony, nie wiedziałem dokładnie, co się ze mną dzieje, to na pewno nie przez pigułki - pomyślałem, usprawiedliwiając się.

Uśmiechnąłem się do niewyraźnego odbicia w oknie, próbując samego siebie oszukać, że się tym nie przejmuję.

Założyłem szlafrok i wruszając ramionami, powolnym ruchem poszedłem do łazienki. Zwykle go nie nosiłem, brakowało mi na to czasu. Kupiłem go jakieś dwa lata temu i ubierałem go raptem raz w tygodniu, czasem trochę częściej. Chodząc do pracy, przygotowywałem się w ekspresowym tempie. Zakładałem go w weekendy i inne dni wolne od pracy, kiedy mogłem się delektować porankiem przy kawie i przyjemnym zefirku z pierdolonego okna, które tego dnia było właśnie zamknięte.

Wszedłem beztrąsko do łazienki, obmyłem twarz i spojrzałem w lustro. Przecież mogła je zamknąć Amelia. Wstała prędzej i nie chciała, żebym zmarzył. Przepraszam, że was tak męczę z tym oknem, ale było to dla mnie ważne. Starałem się nie zwracać na to uwagi, ale nie potrafiłem. W końcu właśnie od tego wszystko się zaczęło... Wolałem zapytać Amelię, czy czasem ona je zamknęła. Może trochę przesadzam, ale to tak, jakby mi ktoś odebrał moje prawa. Spojrzałem ponownie w lustro, otwierając szerzej oczy i przypominając sobie, co wydarzyło się wczoraj. Widziałem wtedy wszystko jak we mgle, nie byłem do końca niczego pewien. W pewnym momencie mój uśmiech na chwilę zamarł, po czym wyraz twarzy zaczął zmieniać się w przerażenie.

- Suknia!!! - krzyknąłem przerażony.

Złapałem zlew, ściskając go mocno. Stojąc w miejscu, zastanawiałem się, czy faktycznie tam była, czy może to wszystko przez leki... Wypuszczając go z rąk, wybiegłem z łazienki. W nerwach, które mi towarzyszyły, zahaczyłem

o lustro, a ono spadło na ziemię. Przez natłok emocji nie zwróciłem uwagi na to, że spadając, skaleczyło moją rękę na tyle mocno, aby ta zaczęła krwawić. Miałem je już dawno przymocować jak trzeba, mimo to z lenistwa oparłem je o zlew i ścianę. Czego nie zrobi się od razu, jest pewne, że tak już pozostanie. Robiąc delikatny ślad czerwonym płynem na podłodze, wpadłem do pokoju jak emeryt do supermarketu za wyprzedażą. Ślizgając się po podłodze z powodu nadmiernej prędkości, dopadłem do szafy, niczym psychopata do ofiary. Biorąc głęboki wdech przez nos, zarzuciłem włosy do tyłu. - Wszystko będzie dobrze - pomyślałem, garbiąc się przy drzwiach. - Nie może jej tam być. Ścisnąłem boki szafy, nie zwracając uwagi na złamaną rękę. Rana, spowodowana przecięciem kawałkiem lustra, zaczęła krwawić mocniej. Stałem tak przez chwilę, zastanawiając się, czy ją otworzyć. Co jeśli „to” okaże się prawdą? - Wtedy nie chcę wiedzieć - pomyślałem. Zamknąłem oczy, zrobiłem głęboki wdech. - Muszę sprawdzić - pomyślałem. Otworzyłem drzwi szafy tak szeroko, jak się dało, prawie wyrywając je z zawiasów.

- Nooo... gdzie jesteś... - zacząłem mówić, jakbym czekał na odpowiedź.

Koszulka, koszulka, sukienka, spodnie, koszula, spodnie, spodnie... Przesunąłem wszystkie ubrania z lewej strony do prawej. Odetchnąłem. Nigdzie jej nie było, jednak nie dawałem za wygraną, wołałem sprawdzić jeszcze raz. Sfrustrowany zacząłem przerzucać coraz szybciej.

- Gdzie ona kurwa jest!?! - krzyknąłem, zaciskając wargi coraz mocniej.

Nie panowałem nad tym, jak mocno je zaciskam. Oczy zaczęły mi się szklić. Modliłem się w myślach o to, aby jej tam nie było.

- Gdzie ona jest!?! - zapytałem, jakbym czekał, aż ktoś mi odpowie.

Zacisnąłem żuchwę z bezsilnością wypisaną na twarzy. Miałem zbyt wiele pytań i żadnej odpowiedzi... Oparłem się o szafę, spuszczaając głowę.

- Czy ja zwariowałem?! - krzyknąłem, ponownie patrząc z żalem w podłogę, na krople krwi, które robiły już dość sporą plamę.

Przerzucanie ubrania po ubraniu w jedną i drugą stronę nie dawało rezultatu. - Na pewno tu jest, przecież ją widziałem - pomyślałem, szukając dokładniej. - Wczoraj tu była, co to jest? Suknia widmo?

Zacząłem zrzucać wszystko na podłogę, abym przypadkiem nie przeoczył sukni, która i tak z daleka rzucałaby się w oczy. Wpadłem w szal. Nie wiedziałem, co o niej myśleć, długa czerwona suknia do kostek. Nie wyglądała jak strój balowy. Pasowała zarówno na poważne spotkania, jak i drobne imprezy. Musiała tam być, chociaż z drugiej strony chciałem, żeby jej nie było. Mogło to oznaczać tylko śmierć Amelii, tak jak w mojej pierdolonej wizji. W mgnieniu oka szafa była pusta, a ja stałem przed nią z lekko zgiętymi kolanami, bezsilnością wypisaną na twarzy i plamą krwi pode mną. - Jestem świrem -

pomyślałem. Zrzucając ubrania, nie zwracałem uwagi na rękę, która zaczęła mi już pulsować z bólu. Co kilka sekund zaciskałem pięciokrotnie zuchwę.

Jeden... - czułem zgrzytanie dolnych zębów o górne.

Dwa... - parskałem śliną, która uwalniała się kącikami moich ust.

Trzy... - zaciskałem pięści z bezsilności.

Cztery... - rozejrzałem się dookoła, szukając jakiegoś ratunku.

Pięć... - kurwa pięć i co dalej?

- Ja pierdolę, nie działa - pomyślałem.

Nie zwróciłem uwagi nawet na Amelię, stojącą już od pewnego czasu przy wejściu do sypialni. Może nie odzywała się, aby sprawdzić, co robię. Miała wyraz twarzy, jakby zastanawiała się, do czego jeszcze jestem zdolny. Stała, trzymając się futryny, wpatrzona we mnie ze strachem. Nie wiedziała, czy coś powiedzieć czy przeczekać mój szal. Gdy spojrzałem na nią, zrobiła krok do tyłu, dając mi do zrozumienia, że się mnie boi. To był dla mnie największy cios, przecież nigdy nie zrobiłem jej krzywdy. Jak ona śmiała!? Nie pozwoliłbym na to, aby coś jej się stało. W końcu zachowywałem się tak dla niej. Bałem się, że stanie się jej krzywda. Przełknąłem nerwowo ślinę. Stałem bez ruchu, patrząc w jej kierunku.

Czy mi się zdaje? Czy mam już omamy? Wiedziałem, że muszę się do niej odezwać, muszę się zapytać. Było pewne, że przestraszy się jeszcze bardziej, ale to było silniejsze ode

mnie. Nie mogłem wtedy tak po prostu udawać, że jej nie widzę.

- Kochanie... - powiedziałem szeptem, przesuając nogą porozrzucane ubrania, żeby zrobić sobie trochę miejsca.

- Czemu porozrzuciłeś ubrania? - zapytała łamiącym się głosem.

Amelia zacisnęła mocniej dłonie na futrynie, jakby przygotowywała się do ucieczki, w razie gdybym chciał jej zrobić krzywdę. Przełknąłem ponownie ślinę po zaciśnięciu zuchwy... Promienie słońca, które przedostawały się przez okno, raziły mnie w oczy. Mimo to starałem się zmienić wyraz twarzy na bardziej przyjazny. Mrużyłem delikatnie oczy, uśmiechając się w jej stronę. Po reakcji Amelii było widać, że mi się to nie udało. Pulsujący ból dłoni zaczął przegrywać z bólem głowy. Stałem, nie mówiąc nic, zastanawiając się, czy jest jakaś szansa, żeby załagodzić tę sytuację. Uśmiechnąłem się z nadzieją, że grymas warg wygląda jak najbardziej naturalnie, i otworzyłem lekko sparaliżowane ze strachu usta. Oblizalem je, czując, jak zaczynają mi mrowieć. Zapytam! - Muszę - pomyślałem.

- Skąd masz tę suknię... - wydusiłem z siebie, wiedząc, że nie ma już odwrotu.

- Jaką suknię?

- Tę kurwa, któ...!!! Przepraszam, tę... którą masz na sobie...

Starałem się opanować emocje, co zresztą nie wychodziło mi za dobrze. Amelia spojrzała na czerwoną

suknię, robiąc kolejny krok do tyłu. Wycierając o nią powoli spocone z nerwów dłonie, patrzyła w moją stronę zdezorientowana. Stojąc przez chwilę bez ruchu, spojrzała na plamę krwi i ponownie na mnie. Próbowwała coś kilkakrotnie powiedzieć, ale za każdym razem rezygnowała. Otwierała usta, zastanawiając się, co powiedzieć, aby nie zacząć przypadkiem kłótni.

- Kupiłam... kupiłam ją, żeby się tobie pokazać po twoim wyjściu ze szpitala - powiedziała, usprawiedliwiając się. - Nie była droga - dodała, przetykając nerwowo ślinę. Znałem ją już jakiś czas i wiedziałem, że chciała szybko zmienić temat. Zresztą nie dziwię się jej, wiem, że zachowywałem się jak świr. Być może trochę przesadziłem.

- Nie podoba ci się? - zapytała.

- Nie o to mi chodzi...! - powiedziałem, nieświadomie podnosząc głos. Zdałem sobie z tego sprawę dopiero po kilku sekundach. - Wyrzuć ją, oddaj bezdomnej, spal ją, zrób z nią co chcesz, nie obchodzi mnie co, ale masz jej nie nosić, nie chcę jej widzieć w domu!!!

Amelia zmrużyła oczy i cofnęła głowę ze zdziwieniem, jakby chciała powiedzieć „odpierdol się człowieku, chyba na łeb upadłeś”. Patrząc na to teraz, widzę, że mogłem rozegrać to inaczej, ze spokojem. Wtedy byłby lepszy efekt, więcej bym działał. Jednak, gdy ją zobaczyłem w tej sukni, nie mogłem wytrzymać. Też byście tak zareagowali, widząc śmierć swojej żony. W pełni zrozumielibyście mnie dopiero, gdybyście znaleźli się na moim miejscu.

- Jednak to była prawda - pomyślałem, siadając na łóżku. Po krótkiej rozmowie, a raczej rozkazie, Amelia odwróciła się i wyszła z sypialni. Stałem jak wryty, sam na sam z moimi myślami, z którymi chyba od pierwszej wizji nie dawałem sobie rady. Chociaż wtedy nie chciałem się do tego przyznać. Wmawiałem sobie, że wszystko jest w porządku. Otoczony porzrzuconymi ubraniami z szafy, pogiętymi wieszakami i zamkniętym oknem, siedziałem mrużąc cały czas oczy. Patrząc w kierunku pustej szafy, zastanawiałem się, czy jest w ogóle jakiejkolwiek wyjście. Trzymałem rękę, która dawno przestała już krwawić, myśląc, czy to wystarczy, aby ocalić moją żonę. Spojrzałem w stronę okna.

- Kurwa, okno miało być otwarte!

Wiedziałem, że to gówno niczego nie zmieni, ale tak było zawsze. Zawsze wstawałem do pieprzonego okna i zawsze je zamykałem. Było tak, odkąd się tutaj wprowadziliśmy i zawsze było wszystko w porządku. Aż do dziś. Na pewno nie byłoby tej całej sytuacji, gdyby nie to pierdolone okno...

Podszedłem do niego, zaciskając oczywiście żuchwę pięciokrotnie. Otworzyłem je i spojrzałem na ogród.

- Po co ona ją kupiła? - pomyślałem. Wydawało mi się wtedy, że zniszczenie sukni byłoby najlepszym rozwiązaniem. Nie będzie sukni, nie będzie morderstwa. Dobrze myślę? Teoretycznie powinienem się cieszyć, w końcu rozwiązała moje wszystkie wątpliwości. Szkoda, że nie mam z czego się cieszyć. Z tego, że nie zwariowałem?

Wolałbym zwariować, niż widzieć, jak moja żona umiera. Chcąc naprawić to, co niedawno zrobiłem, zamknąłem okno tak, jak zwykłem to robić, po czym usiadłem jeszcze przez chwilę na łóżku. I co dalej?

Wolałbym z wami porozmawiać, niż pisać to gównem, chociaż pomogliście mi z tego wyjść, coś doradzili. Zamiast tego siedziałem przerażony, nie chciałem zostawać z tym sam. Czy zniszczenie sukni ocali ją przed śmiercią? To chyba jakiś absurd, przecież równie dobrze może zginąć w spodniach... To, jak ktoś jest ubrany, to najmniejszy problem. Równie dobrze mógłbym się martwić, w czym pojedę na swój własny pogrzeb. Wizja dręczyła mnie coraz bardziej. Zastanawiałem się, czy jej o tym powiedzieć, ale wtedy przypominałem sobie naszą ostatnią rozmowę. Wydaje mi się, że pogrążyłbym się jeszcze bardziej. Było mi wystarczająco głupio, widziałem, że się mnie boi... Już dawno zostałem z tym sam, nie mogłem przyznać się jej, co tak naprawdę mną kieruje.

Zamiast z nią porozmawiać jak człowiek i załagodzić sytuację, wolałem najpierw posprzątać pokój. Fakt, nie było to normalne, ale chociaż oboje mieliśmy chwilę, żeby ochłonąć. Nie zniósłbym kolejnego widoku czerwonej sukni na niej.

Wstałem i rozglądając się dookoła, zastanawiałem się, od czego by zacząć. – Po co jej tyle ubrań – pomyślałem, rozwieszając je z powrotem na wieszakach, które zdołałem wyprostować. Nie miałem pojęcia, jaki Amelia miała system porządkowania i układania ubrań w szafie, więc

ograniczyłem się jedynie do podzielenia na moje i jej. – Resztę sobie posegreguje sama – pomyślałem. Porządkując cały syf, który zrobiłem, zdołałem się uspokoić. Cały syf..., czyli wieszaki i ubrania... Pozostała jeszcze plama na podłodze. Mimo niepokoju, który mnie ogarnął już od samego rana, miałem lepsze samopoczucie niż poprzedniego dnia. Jeszcze bardziej zdziwiło mnie to, że tak się czułem, nie biorąc przy tym ani jednej tabletki. Po tym, jak Amelia zeszła na dół, głowa z sekundy na sekundę przestawała mnie boleć. Chyba głębokie wdechy i zaciskanie żuchwy zrobiły swoje. Kończąc, wyszedłem z sypialni, spoglądając na wszelki wypadek za siebie, czy czasem nie zostawiłem otwartego okna. Muskając dłonią futryny drzwi, zastanawiałem się, co jej powiedzieć. Każdy krok, który sprawiał, że byłem bliżej, stawał się wolniejszy, a niepokój narastał coraz bardziej. Zarzuciłem ręką nieogarnięte jeszcze włosy do tyłu i zacisnąłem żuchwę.

– Kurwa, ała!!! – przekląłem, łapiąc się za stopę z bólu.

Panicznie podskakiwałem na jednej nodze, opierając się w końcu barkiem o ścianę. Krew leciała mi jak z kranu. Pocierałem ją, żeby wyciągnąć ze stopy odprysk szkła z lustra, który musiał upaść aż na korytarz. Był dopiero poranek, a już miałem dosyć tego dnia. – Co mnie jeszcze czeka? – pomyślałem. Stałem tak przez chwilę, rozglądając się, czy czasem nie leży ich tu jeszcze kilka. Dopiero gdy krew przestała lecieć, złapałem odprysk na tyle dobrze, aby go wyciągnąć. Bolało jak skurwysyn, ale jakoś zdołałem opanować nerwy.

Szedłem do Amelii, stąpając jedynie na połowie stopy i zaciskając zęby z bólu. Byłem pewien, że mój sztuczny uśmiech chociaż trochę pomoże w tym, co niedawno miało miejsce. Zacząłem wymyślać jakieś przeprosiny, na które Amelia na początek zmarszczy ze złości usta, a potem, gdy załapie, jakie były debilne, zacznie się uśmiechać. Zdarzały się u nas jakieś kłótnie, oczywiście nie takie, jak przed chwilą, ale wiedziałem, jak się zachować. Wystarczyło, że zmarszczy usta, powstrzymując się od śmiechu, i będzie dobrze. Gdyby do tego dodała „ale jesteś głupi”, mógłbym nawet liczyć na seks. Chociaż rzadko się to zdarza i wymaga mistrzowskiego tekstu. Dokonać czegoś takiego udało mi się tylko trzy razy, tylko trzy... Za to były to pamiętne trzy razy, których, jak przypuszczam, każdy by mi pozazdrościł. Możliwe, że trochę ją kręciły kłótnie, kto normalny ściągnąłby po nich majtki. Dochodząc do schodów, spojrzałem jeszcze raz na korytarz, aby przez chwilę móc ponarzekać na to, ile przede mną sprzątanina. Ze schodów schodziłem lekko kulejąc, nadal myśląc sobie, jak przeprosić Amelię. Niestety, ciągle nie miałem pomysłu, co jej powiedzieć. Mogłem się tylko modlić, że dostąpię objawienia, gdy spojrzę w jej oczy. Żeby to było takie proste...

Siedziałem w salonie już jakiś czas. Rozłożyłem się na fotelu, chyba nie myśląc już o niczym. Patrzyłem jedynie na ogród. Ta cisza była przerażająca. Kacpra nie było. Amelii nie było. Fantastycznego tekstu, za który żona miała mi

wybaczyć, nie było. Niczego nie było. Byłem tylko ja, sam w dużym domu, zastanawiający się, czy wszystko się ułoży. Poranną rozmowę przypominała mi jedynie suknia złożona w kostkę i leżąca na stoliku. Tylko ona na mnie czekała, gdy zszedłem do salonu. Stopa przestała mi krwawić jakoś w połowie schodów. Jedyne pocieszenie było takie, że nie pobrudziłem salonu. Patrzyłem na moje zakrwawione ręce i zastanawiałem się, jak do tego wszystkiego mogło dojść. Wyglądałem, jakbym kogoś niedawno zabił. Zamiast cieszyć się i spędzać czas z rodziną tkwię tutaj sam. Inaczej sobie to wszystko wyobrażałem... Nawet nie wiedziałem, gdzie dokładnie jest moja żona, kiedy wróci i czym się teraz zajmuje. Gdybym z nią normalnie porozmawiał, zamiast odpierdalać takie sceny, na pewno by mi powiedziała. Poprzedniego dnia, kiedy szedłem do sypialni, trochę olałem Amelię. Zaczęła mi mówić, że znalazła pracę, że wszystko powoli się układa. Zamiast jej wysłuchać i cieszyć się jej szczęściem, wolałem przytaknąć w drodze do łóżka.

O tym, że poszła do pracy, dowiedziałem się z SMS-a, którego napisała mi rano, po kłótni. Zamiast złapać od razu za telefon, jak głupi siedziałem i zastanawiałem się, gdzie może być. Dopiero po kilku minutach w samotności przyszło mi do głowy, żeby do niej zadzwonić. Nawet nie odebrała telefonu. Teraz chociaż wiecie, jak można szybko i łatwo coś spierdolić.

Siedząc wpatrzony w telefon, zastanawiałem się, co o mnie myśli żona. Najgorsze było to, że nie mam nic na swoją

obronę. Nie miałem oczywiście kompletnej pustki w głowie. Czasem zdarzał się jakiś przebłysk, ale nie na tyle dobry, żeby załagodzić sytuację. Zacząłem myśleć, czy nie byłoby najlepiej, gdybym próbował wszystko zwalić na mój wypadek. Być może początkowo tak, ale jestem pewien, że żona nie zostawiłaby tego. Wiem, że sprawa zrobiłaby się poważniejsza. Wtedy w moje życie nie ingerowałaby tylko Amelia, ale zaczęłby również psychiatra. Potem na pewno byłoby jeszcze gorzej. Początkowo pewnie sprawdziliby, jakie leki biorę i na pewno próbowałby mi je odstawić. Rzecz jasna nie jestem od nich uzależniony, ale nie dałbym rady bez nich wytrzymać. Tylko one były na tyle dobre, żeby mi pomóc. Chyba że na rynek weszło coś nowego, ale wątpię.

- Będzie dobrze - powiedziałem do siebie, zaciskając żuchwę.

Spojrzałem jeszcze raz na telefon. Była jedenasta. - Kurwa, ale ten czas szybko leci - pomyślałem. - Miałeś nie przeklinać! - dodałem, upominając się. Nigdy nie lubiłem, gdy ktoś klnie, a teraz i mnie się udzieliło. Staralem się pilnować, ale trudno było się odzwyczaić. Tym bardziej w takich sytuacjach.

Ściskając telefon mocniej w rękę, wstałem, aby ogarnąć ten syf na górze. Stopa przestała mnie już boleć, a czerwona plama na niej zdążyła wyschnąć. Przypominając sobie wszystkie plany na ten dzień, poszedłem żwawym krokiem do łazienki. Odłamki lustra pozbierałem szybko. Cztery spore kawałki i kilka odprysków, z którymi poradziła

sobie miotła. Myślałem, że będzie gorzej. Z krwią nie poszło już tak łatwo, zeschniętą trudno zmyć. Nie wiem, może są jakieś super sposoby, po których od razu schodzi. Ja postawiłem na zwykłą, ciepłą wodę. Jestem typowym facetem, więc jakieś pół godziny szukałem mopa, który był najzwyczajniej koło kuchni w skrytce z miotłami. Kto by pomyślał, żeby akurat tam go schować? Na pewno takie pomieszczenie ma jakąś nazwę, ale nie mam pojęcia jaką. Po godzinnej męczarni z doprowadzeniem do porządku domu (podczas której kurwiłem na to, że wszędzie jest krew), mogłem wreszcie wziąć prysznic, ciesząc się nieskazitelną piętą. Pod prysznic wskoczyłem szybko, nie chciałem tracić więcej dnia.

O dwunastej trzydzieści wyszedłem na osiedle zobaczyć miejsce wypadku. Tam mogło się wszystko wyjaśnić. Chociaż nie wiem, kogo chciałem oszukać. Nie miałem pojęcia, po co tam idę. Mogło się to rozwikłać dzień po wypadku, a nie trzy tygodnie, ale w końcu nadzieja matką głupich. Mijałem kolejne domy i przypominałem sobie, jak wszystko wyglądało. Szedłem, zaciskając żuchwę, nie mając zielonego pojęcia, jak to się skończy.

Do miejsca wypadku nie miałem daleko, raptem po dziesięciu minutach ominąłem osiedle i stanąłem przy zakręcie, patrząc na skoszone drzewo. To znaczy raczej pień wystający z ziemi. Drzewa już nie było, ktoś zdążył je już chyba przerobić na opał gdzieś w piwnicy. Pień wystawał jedynie niecały metr nad ziemię. Poza nim nie było innych śladów. Oczywiście, na wszelki wypadek

poszedłem jeszcze zobaczyć miejsce, gdzie „umarła” Amelia. Pamiętałem wszystko dokładnie, przechodziłem w tych samych miejscach co napastnik, ale niestety niczego nie znalazłem. Nie wiem, co mi przyszło do głowy, było do przewidzenia, że niczego tam po takim czasie nie znajdę. Kurczę, na siłę szukając odpowiedzi, znalazłem gówno. Tylko to udało mi się złapać, cholera przykleiła mi się do podeszwy, gdy sprawdzałem jeden z krzewów. Tym pojebanym mieszkańcom nawet się nie chce odchodów po psach wyrzucić do pojemnika. Taka jest mentalność Polaków.

Stałem przy chodniku, rozglądając się uważnie. Szukałem klucza, który upuściłem gdzieś w tamtych okolicach. Nie pamiętałem dokładnie gdzie. W myślach miałem kilka miejsc. Krzaki, chodnik, trawnik, ulica... Zastanawiałem się, czy gdy upadał, słychać było odgłos uderzenia metalu o beton czy nie. Niby nic trudnego, teren zresztą też nie był rozległy, ale za cholere nie mogłem sobie przypomnieć. Taka jest już moja pieprzona pamięć. W przyływie adrenaliny sporo zapominam.

Pamiętałem jeszcze jedną rzecz... To znaczy wydaje mi się, że pamiętałem. Gdy upuściłem klucz, napastnik się obrócił. Czyli jednak musiało to być na chodniku lub ulicy. Kiedy zauważył mnie stojącego kilka metrów za nim, ruszył w moją stronę z szeroko otwartymi oczami. Chciał coś powiedzieć, ale chyba nie był w stanie. Widać było, że to jego pierwsze morderstwo... Był przerażony równie mocno

jak ja. Może żałował swojego czynu, ludzie w przypiływie nerwów robią różne rzeczy. Zauważył, że zrobił coś strasznego i nie wiedział, jak z tego wyjść. Chyba że ja to zupełnie inaczej widziałem. Im bardziej się w to zagłębiałem, tym bardziej zdezorientowany byłem. Nie miałem pojęcia, czy to jawa, sen, wizja czy inne gówno. Głowa zaczęła mnie boleć od natłoku złych wspomnień. Gdybym coś znalazł... co by to zmieniło?

Wymyślałem coraz to nowsze historyjki. Czemu akurat ja? Nie mógłby to być mój sąsiad? Miałbym nawet jednego kandydata. Pierdolonego pozera, który mieszka dwa domy obok i chwali się, kim to on nie jest. Lekarz to nie lada osiągnięcie, ale to nie znaczy, że wszyscy mają mu się kłaniać z nadzieją, że dziś ma trochę lepszy humor i łaskawie odpowie. Jarocin jest małym miasteczkiem, więc był tutaj znany. Tu wystarczało, że robisz coś innego lub coś więcej niż przeciętny mieszkaniec i już byłeś kimś. Wtedy mieszkańcy (jak na Polskę przystało) dzielili się na dwie grupy. Tych, którzy polubili taką osobę, mają do niej szacunek i kibicują jej, oraz tych, którzy najzwyczajniej jej zazdroszczą, rozpowiadając, że pcha się w coś, o czym nie ma pojęcia, licząc, ile pieniędzy już zarobiła. Śmieją się, że taka osoba jest inna. Inna, bo chce zrobić coś więcej, niż tylko przetrwać w pracy i wrócić do domu? Niech właśnie takie osoby, które mają się za panów świata, a tak naprawdę są tylko panami swojego podwórka, mają w życiu pod górkę. Czemu zawsze kurwa ja? Przypuszczam, że na

moim osiedlu byłoby więcej osób, oprócz tego sąsiada. Połowa mojego osiedla jest zadufana i zakochana w sobie.

Być może dlatego stale próbowałem na siłę napisać jakąś książkę. Chciałem zrobić coś lepszego od reszty. Chociaż pisanie książek jest coraz mniej oryginalne, teraz próbuje to robić co piąta osoba i każda myśli, że jej dzieło będzie wyjątkowe. Może nawet zrezygnowałbym z dalszych prób, gdyby nie pomysł, jaki mi przyszedł do głowy, gdy wracałem do domu. Szukałem historii niesamowitej, fantastycznej, trzymającej w napięciu, ale po co? Czy nie lepiej opisać swoje życie? Nic bardziej realnego nie znajdę, a w mojej pracy aż rzygać się chciało tymi wszystkimi historyjkami. Do domu wracałem jeszcze szybciej, niż szedłem na miejsce wypadku (choć prawie biegłem tam, aby sprawdzić poszlaki). Miałem już zarys całej historii, co nadawało mi jeszcze większego tempa. Nie chciałem pisać o wizjach czy czymkolwiek podobnym, utwierdziłbym w przekonaniu moich najbliższych, że coś ze mną nie w porządku. Im więcej miałem pomysłów, tym bardziej bolała mnie głowa. - Dawno nie brałem tabletki - pomyślałem, zastanawiając się, gdzie je schowałem.

- Wiem, wiem - zacząłem mówić do siebie, zwracając uwagę spacerujących sąsiadów. - Wreszcie mi się uda... - kontynuowałem, nie zważając na ich spojrzenia, podniecenie pomysłem przewyciężało wszystko. Szedłem lekko zgarbiony, z rozczochranymi włosami i podkrążonymi oczami. Obozy w pracy, wojny, intrygi, romans. To będzie idealne połączenie. Książka będzie fantastyczna. - Sława,

pieniądze, szacunek innych - szeptałem, widząc już moją książkę jako bestseller.

Im bardziej wczuwałem się w historię Doriana - głównego bohatera - tym ból był mocniejszy. Paraliżował mnie, nie pozwalając myśleć o niczym innym...

- Kurwa!!! - krzyknąłem, panicznie szukając kojącego leku.

Stojąc na chodniku, tuż przed moim trawnikiem, przeszukiwałem kieszeń po kieszeni wpatrzony w samochodzik przy drzwiach. Zacisnąłem pięciokrotnie zuchwę i kucnąłem na chwilę. - Dorian... uspokój się - powiedziałem, próbując dojść do siebie. W koszuli, którą miałem na sobie, znalazłem ostatnią tabletkę. Nie myślałem, że tak ucieszę się na jej widok. Przegryzłem ją kilkakrotnie, uwalniając jej gorycz. - Tak ją szybciej wchłonę - pomyślałem. Nie wiem, czy to przez przekonanie, że ją połknąłem, czy faktycznie zaczęła tak szybko działać, ale po chwili ból zelżał. Cały czas go czułem, ale był do wytrzymania. Ucieszyłem się, pociągając delikatnie nosem. Już po kilku sekundach próbowałem zebrać siły, aby wstać. Oddychając głęboko, zastanawiałem się, czy jak się podniosę, to nie zasłabnę. Przecież zatrzymałem się, bo już mi się robiło słabo. Nie byłem do końca pewien, czy wszyscy są w domu, a nie chciałem, by zobaczyli, że jest ze mną coraz gorzej.

Podpierając się złamaną ręką, postanowiłem wstać, wbiec do domu i usiąść na kanapie. Dwa metry przed moimi drzwiami ból ustał, a ja zwolniłem, łapiąc powietrze.

Ominąłem kilka zabawek porozrzucanych przez Kacpra i zbliżyłem się do drzwi, szukając swoich kluczy. – Gdzie one są? – pomyślałem, opierając się o klamkę. Dzięki temu udało mi się je otworzyć. Nie zamknąłem ich? Zauważyłem krew na mojej dłoni... – Co jest?... – pomyślałem, zastanawiając się, skąd się wzięła. Obejrzałem ją dokładnie, by sprawdzić, czy czasem się nie skaleczyłem. Spojrzałem na klatkę piersiową, dotykając jej dla pewności. Na koszuli pojawiły się kolejne krople. Zbliżyłem rękę do twarzy, dotykając nosa, z którego właśnie leciała. Wytarłem go w rękaw. To przez ból? Tabletki? Wizje? Nigdy nie miałem takich problemów, byłem okazem zdrowia... ale nie miałem wtedy czasu się tym przejmować. Uchyliłem bardziej drzwi. Byłem pewien, że wcześniej je zamknąłem, może Amelia już wróciła – pomyślałem.

Musiałem wreszcie z nią porozmawiać. Każdy dzień zwłoki sprawiał, że coraz bardziej się oddalaliśmy.

– Boże... nigdy cię o nic nie prosiłem, nie chodziłem do kościoła, nie modliłem się. Przyznaję się, miałem cię gdzieś... To jest moja kara? – zacząłem szeptać, zaglądając głębiej do salonu. Nie było tam nikogo... Salon był pusty, ogarniała mnie wszechobecna cisza. Na pewno nie było Amelii, siedziałaby w salonie albo pichciła coś w kuchni. Bałem się zapytać, czy ktoś tam jest, bo co, jeśli ktoś by odpowiedział? – Już mam dość, poddaję się, pomóż mi... – Nie wiem, co mam robić – dodałem, zaciskając żuchwę pięciokrotnie. Łzy spłynęły mi po policzku, a nerwica i bezradność jeszcze bardziej dawały za wygraną.

Żeby to była Amelia... proszę...

Każdy krok był coraz ostrożniejszy. Słyszałem jakieś hałasy na górze, ale nie miałem pojęcia, co to jest... Spojrzałem na zegarek. Była dopiero godzina trzynasta. Przypomniało mi się, że Amelia napisała mi rano SMS-a. Kończyła pracę jakoś po siedemnastej. Sprawdziłem jeszcze raz nos, pocierając go o rękaw. Krwawienie ustało. Wchodziłem powoli na górę, zwracając uwagę na stopnie. Pamiętam, że czwarty schodek skrzypiał, a może to był piąty... Kurwa, czemu nigdy tego nie sprawdziłem... hałas był coraz głośniejszy.

Doszedłem do trzeciego, przełykając nerwowo ślinę. Pomagając sobie rękoma, stanąłem od razu na szóstym. Wszedłem na korytarz i spojrzałem na jego drugi koniec. Ktoś był w sypialni... Rozejrzałem się dookoła, szukając jakiejś broni. Za późno o tym pomyślałem, na korytarzu nie było niczego. Zamknąłem na chwilę oczy, licząc, że to tylko sen. Otworzyłem je i nadal stałem na korytarzu, patrząc w stronę sypialni. Spuściłem głowę, godząc się z tym, co mnie czeka. Do sypialni podchodziłem przy ścianie, jakbym chciał się z nią zjednoczyć. Równocześnie nasłuchiwałem odgłosów z nadzieją, że dowiem się, kto tam jest. Przełknąłem jeszcze raz ślinę, nie dając sobie rady z jej nadmiarem. Pokonując korytarz małymi kroczkami, udało mi się dotrzeć do jego końca. Gdy byłem przed drzwiami, wychyliłem delikatnie głowę. Ze strachu od razu schowałem ją z powrotem. Z bezsilności łzy spłynęły mi po policzkach.

Była tam kobieta w czerwonej sukni. Broda zaczęła mi drżeć...

- Kurwa - wyszeptałem, zastanawiając się, co zrobić.

Przełknąłem ślinę i ponownie zacisnąłem żuchwę pięciokrotnie. Nie miałem pojęcia, co zrobić. Czemu ona mnie prześladowuje... Przez głowę przeszedł mi natłok myśli. To nie była moja żona... Jestem pewien, to nie ona. Ja pierdołę, kolejna wizja... Zacząłem się zastanawiać, czy suknia, która została w salonie, nadal tam leży. Czemu nie zwróciłem na to uwagi, czemu o tym nie pamiętałem. Początkowo chciałem to sprawdzić, ale ta kobieta na pewno by mnie wtedy zauważyła, drzwi od sypialni były uchylone. Sam się dziwiłem, że do tej pory mnie nie widziała. Była chyba za bardzo zajęta oglądaniem, jak leży na niej suknia.

Zaciskałem pięści w panice, a głowa zaczęła mnie znowu boleć, tabletki chyba przestawały działać. - To niemożliwe - pomyślałem. - Przecież niedawno je brałem. Głowa zaczęła mi mrowieć, a ja złapałem się za skronie. Próbowałem opanować emocje, ale nie miałem pojęcia jak. Czułem się jak wtedy... miałem wrażenie, że zaraz coś jej się stanie, a ja będę musiał ją ocalić. Sądziłem, że kobieta w czerwonej sukni jest znowu w opałach. Przetarłem nos, z którego ponownie zaczęły uwalniać się krople krwi. Moje czoło robiło się wilgotne, gdy słyszałem stukanie szpilek. Udała się w kierunku okna. Kiedy je uchyliła, oczy prawie wyleciały mi z orbit. - Czy ta kobieta istnieje? - pomyślałem, tłumacząc sobie, dlaczego okno rano było zamknięte. To jej zasługa... ona je zamyka, czemu mnie

prześladuje... Zaraz zniknie, podejdzie do okna i po prostu zniknie... - zacząłem tłumaczyć, czekając, co zrobi.

- Boże, pomóż mi... - wyszeptałem. - I to o to chodzi? Jestem jakimś medium? Widzę duchy? - dodałem, łapiąc się za głowę z bólu.

Nie mogłem tak po prostu czekać. A co, jeśli przyszedłby Kacper ze szkoły? Nie miałem już pojęcia, która jest godzina. Nie mogłem pozwolić, żeby to zobaczył. Mówiłem do siebie, mobilizując się do jakiegokolwiek czynu. Wszystko w tym przypadku byłoby lepsze, niż stanie za drzwiami. Wzięłem głęboki wdech, próbując się uspokoić. Zamknąłem oczy i zacząłem wsłuchiwać się, kiedy kobieta złapie za klamkę okna... - Teraz, albo nigdy... - wyszeptałem. Nogi zrobiły mi się jak z waty.

Otworzyłem oczy, biorąc głęboki wdech, jak wtedy, gdy wybudziłem się ze śpiączki. Wstając z łóżka, złapałem się za głowę.

- Kurwa, jak boli - powiedziałem, pocierając ranę na niej.

Spojrzałem na uchylone okno, potem na drzwi. Poczułem się sparaliżowany ze strachu. To się wydarzyło? Starąłem się odtworzyć to, co niedawno miało miejsce.

Wizja czy może „ona” żyje?

Zadawałem sobie pytania, na które chyba nikt nie znał odpowiedzi. Usiadłem, zrzucając kołdrę na bok. Spojrzałem na zegarek. Była szesnasta. Patrzyłem cały czas na drzwi, zastanawiając się, czy to wszystko miało miejsce. Niedawno

była jedenasta... Nie pamiętałem nic, nie wiedziałem, jak to wszystko wytłumaczyć. Nie miałem pojęcia, czy to był poranek, w końcu zegarek mógł przestać działać. Czy może wstawałem już dziś z łóżka... Wiatr wpadający przez otwarte okno rozwiewał zasłonę, jak to zwykł robić o poranku. Przez tabletki, które wziąłem poprzedniego dnia i przemęczenie, nie byłem pewien, czy rozebrałem się do spania. Spojrzałem na siebie, sprawdzając, czy czasem nie mam wczorajszego ubrania. Po zakrwawionej koszuli nie było śladu.

Zacząłem ponownie dotykać rany, której nabawiłem się z niewiadomych przyczyn. - Ja pierdołę - zdołałem z siebie wydusić. Niczego bardziej sensownego nie byłem w stanie powiedzieć. Kacper powinien już być w domu. Przełknąłem ślinę, wstając ostrożnie z łóżka. O ile dobrze pamiętałem, miałem zawirowania w głowie, wołałem więc najpierw sprawdzić, czy mogę bezpiecznie stanąć na nogach. Na stoliku nocnym leżał opatrunek, którego chyba używałem. Sprawdziłem kieszeń koszuli, nie było żadnej tabletki, czyli musiałem ją dziś brać. Co ja bez nich zrobię... - wydusiłem spanikowany. Bałem się tego bólu. Stałem, wmawiając sobie, że dzisiaj już mnie głowa nie zaboli. Podeszedłem do okna, aby je zamknąć, po czym udałem się w kierunku szafy. Przeszukałem wieszak po wieszaku.

- No dalej, gdzie jesteś? - zacząłem mówić do siebie spokojniej, niż ostatnio.

Czerwonej sukni nie było. Przeszukałem szafę jeszcze raz, tak dla pewności. Przypominając sobie Amelię stojącą

To już jutro to już jutro to już jutro to już jutro to już jutro
to już jutro to już jutro to już jutro to już jutro to już jutro
To już jutro to już jutro to już jutro to już jutro to już jutro
to już jutro to już jutro to już jutro to już jutro to już jutro
To już jutro to już jutro to już jutro to już jutro to już jutro
to już jutro to już jutro to już jutro to już jutro to już jutro
To już jutro to już jutro to już jutro to już jutro to już jutro
to już jutro to już jutro to już jutro to już jutro to już jutro
To już jutro to już jutro to już jutro to już jutro to już jutro
to już jutro to już jutro to już jutro to już jutro to już jutro
To już jutro to już jutro to już jutro to już jutro to już jutro
to już jutro to już jutro to już jutro to już jutro to już jutro
To już jutro to już jutro to już jutro to już jutro to już jutro
to już jutro to już jutro to już jutro to już jutro to już jutro
To już jutro to już jutro to już jutro to już jutro to już jutro
to już jutro to już jutro to już jutro to już jutro to już jutro
To już jutro to już jutro to już jutro to już jutro to już jutro
to już jutro to już jutro to już jutro to już jutro to już jutro

Bez chwili namysłu złapałem laptopa i rzuciłem go w kierunku okna. Szyba wytrzymała pod naporem uderzenia, ale laptop rozpadł się na dwie części. – Uspokój się – kucnąłem w panice. Znowu przypomniało mi się

morderstwo. Złapałem się za głowę i zaciskając zuchwę, myślałem o Amelii leżącej na chodniku.

- To już jutro, to już jutro - powtarzałem, zastanawiając się, jak mogę wyjść z tej sytuacji. Wiem, nie wypuszczę jej z domu. Zamknę w sypialni, zawiążę, ogłuszę, obojętnie co, żeby tylko żyła - szeptałem z głową pomiędzy kolanami. Muszę coś zrobić... Szukałem tematu na jebaną książkę... ja już nie chcę - powiedziałem, załamując się jeszcze bardziej.

Szybkim ruchem rzuciłem się przez łóżko, wyciągając całą szufladę z mojego stolika nocnego. Rozsypałem wszystko na podłodze i zacząłem przerzucać po całym pokoju. Wiedziałem, że gdzieś był ostatni listek moich tabletek. Ręce mi się trzęsły, gdy próbowałem łyknąć dwie tabletki. Efekt przyszedł od razu... Dopiero wtedy byłem w stanie się uspokoić. Mimo bezsilności, nie mogłem się załamywać. Musiałem cały czas walczyć. Po dziesięciu minutach siedzenia przy łóżku w pozycji embrionalnej i dochodzenia do siebie, wstałem zobaczyć, czy Kacper już wrócił.

Wychodząc na korytarz, słyszałem kogoś na dole, chyba w kuchni. - Wszystko jest w porządku - powiedziałem, uśmiechając się i uświadamiając sobie, jaki miałem dziwny sen.

Amelia już wróciła.

Odchrząknąłem zaspany i poszedłem do łazienki. Zarzuciłem ręką włosy do tyłu i ponownie przetarłem zaspane oczy. Pocierając je, po omacku doszedłem do

umywalki, aby przemyć twarz wodą. Nachylony nad zlewem, orzeźwiłem się. Dotknąłem ponownie rany, zastanawiając się, dlaczego ją mam. Gdy pozbyłem się z twarzy nadmiaru wody, spojrzałem w lustro nad umywalką. Miałem nadzieję, że rana nie wygląda tak źle. Stałem w bezruchu, już nawet nie zaskoczony. Dopiero po jakimś czasie podbródek zaczął mi dygotać, a zęby nerwowo i mimowolnie zaciskać się. – Jakżeby inaczej – powiedziałem. Złapałem się za włosy, patrząc cały czas w jeden punkt nad zlewem. – Gdzie jest, kurwa, lustro? – powiedziałem, zastanawiając się, czy ja to ja, czy może znowu jakaś pierdolona wizja. Nie miałem pojęcia, co się dzieje. To nie koniec koszmaru? Słyszałem cały czas jakieś hałasy dobiegające z kuchni, ale nie słyszałem rozmów. – Nie ma Kacpra? – zadałem sobie pytanie. – Muszę się wziąć w garść – dodałem, stojąc cały czas w bezruchu. Kto może być w kuchni... ta kobieta z sypialni?

Chyba jedyną szansą odnalezienia sensu w tym chaosie była szczerza rozmowa z Amelią. Wytłumaczyłaby mi, co jest prawdą. Pomogłaby mi wszystko zrozumieć. Przemyłem ponownie twarz, przecierając oczy. Podbródek jeszcze mi się trząsał, ale starałem się zebrać do kupy. Powoli coraz bardziej się gubiłem. Nie wiedziałem, co dzieje się naprawdę, a co jest wizją. Moja dusza krzyczała z bezsilności. – Nie mogę nikomu pokazać, że sobie z tym nie radzę – powtarzałem, stojąc nadal w łazience.

Nie mogłem? Kurwa, kogo ja chciałem oszukać... Przecież chyba już każdy to widzi i stara się mnie jeszcze

jakoś tolerować. Po wypadku miałem taryfę ulgową, ale jak długo ona potrwa? Nie mogłem jednak się poddać. Wtedy na pewno wyszedłbym na niepoczytalnego. Musiałem wytrzymać do „tego” dnia. To już jutro, a po nim wszystko na pewno wróci do normy, tylko musiałem dać radę.

Nie miałem czasu do stracenia. Żeby wszystko dobrze się skończyło, musiałem jakoś zareagować, przecież po to były te wizje. Puściłem umywalkę, o którą się podpierałem, i wyszedłem z łazienki. Do kuchni wkroczyłem żwawym krokiem, nie zastanawiając się już, jak jej o tym powiedzieć. Nie interesowało mnie, jak zareaguje. Na pewno lepiej niż gdybym jej nic nie powiedział. Stopnie schodów pokonywałem bardzo szybko, korzystając z chwili i starając się uporządkować chociaż część myśli. – Czy ja oszalałem? – zadawałem sobie to pytanie coraz częściej. Nie, jestem pewien, że nie. Chciałem z tym walczyć, nie poddawać się. Raz już wygrałem, na tym zebraniu w pracy, wtedy zmieniłem moje losy.

– Szafa mnie nie zabiła i teraz też dam radę – mówiłem do siebie, wchodząc do salonu. Udając się w stronę kuchni, zamilkłem. Fakt mówienia do siebie nie polepszyłby mojej obecnej sytuacji. Niemal wbiegłem do niej, wyzywając szafkę, o którą zahaczyłem stopą, obierając jeden z zakrętów.

– Kornelia!? – zapytałem podniesionym głosem, trzymając się za duży palec u nogi.

– Tak... Kornelia, jak głowa? Boli, nie? – zapytała, jakby wiedziała, co mi się przytrafiło.

- Nie jest źle... Bywało gorzej...

Spoglądałem ukradkiem na miejsce, gdzie rano leżała suknia. Nie miałem ochoty rozmawiać z Kornelią, dlatego stanąłem w wejściu, nie mówiąc nic więcej. Wiele mnie kosztowało, żeby zdecydować się powiedzieć o tym Amelii, ale zawsze coś mi przeszkadzało. Po dłuższej ciszy, kiedy Kornelia zajęła się już swoimi sprawami, postanowiłem się jeszcze do niej odezwać.

- Gdzie Amelia?

- Amelia? W pracy. Powinna być za jakieś pół godziny.

- A Kacper? Gdzie jest Kacper? Nie wrócił?

- Nie mówił ci, że dzisiaj też idzie do kolegi? Tego, który ma te nowe zabawki... Przepraszam za to na górze, nie chciałam cię przestraszyć...

- Przestraszyć? O co ci chodzi? - zapytałem, czekając, czy może mi coś wytłumaczyć.

- Noo... w sypialni... jak wchodziłeś... Myślałam, że nikogo nie ma w domu.

- Teraz? To byłaś ty?! Właśnie miałem cię o to zapytać. Nie pamiętam wszystkiego. Nie zdążyłem cię zauważyć, nawet nie wiem, co mi się stało w głowę. Wiem tylko, że mnie strasznie boli...

- Wchodząc do sypialni, zemdlałeś...

- Źle się trochę czułem. Co robiłaś u mnie w domu?

- Rozmawiałaś w ogóle z Amelią? Przecież była mowa, że wam pomagam... Miałam cię odwiedzać w szpitalu, kiedy Amelia nie mogła, przychodzić tutaj, żebyś nie był sam. Miałeś odpoczywać, a ja miałam ci pomagać we wszystkim.

Gdzie ty w ogóle byłeś? Szukałam cię po całym domu, weszłam do sypialni i uchyliłam okno, duszno tam miałeś. Wtedy właśnie wszedłeś do pokoju i zasłabłeś. Ciesz się, że byłam, rozciąłeś sobie skroń... Jeszcze byś mi się tam wykrwawił...

- Przepraszam, nie wiedziałem, nie rozmawiałem z Amelią.

- To po co mnie osądzasz?

- Ale ja cię nie osądzam, przepraszam.

- Twój wyraz twarzy zdradził wszystko, dzięki...

Nasza rozmowa była sztuczna jak parówki z supermarketu. Uśmiechałem się do niej, ale ona widziała, że udaję. Odwzajemniała uśmiech, szkoda jedynie, że był to wyraz współczucia. Najgorszy, jaki może zobaczyć mężczyzna u kobiety. Usiadłem na krześle, obok stołu, na którym robiła obiad, i milczałem. Początkowo próbowała do mnie zagadać, jakoś oderwać od problemów. Miała wyrzuty sumienia, że tak zareagowała, ale widząc moją minę (która zresztą wyglądała jak po tygodniowym picciu), dała sobie spokój. Zaczęła mi opowiadać o jakiejś jutrzejszej imprezie, na którą idzie wreszcie z jakimś mężczyzną.

Początkowo byłem zdziwiony, może olałem ją przez zazdrość. W pracy spędzaliśmy czas razem, być może marzyłem o jakimś romansie, do którego brakowało mi najzwyczajniej jaj. Starłem się chociaż zachować pozory przed Kornelią, która i tak widziała, że jest coś nie tak. Kornelia była seksowną kobietą, a cóż innego niż zbliżenie

pomoże w zrelaksowaniu się i zapomnieniu o problemach? Zaczęła opowiadać o przyjęciu, o tym, jak wygląda jej partner, ale zamiast jej słuchać, myślałem... To znaczy starałem się myśleć, co mogę powiedzieć Amelii.

Kornelia powinna być wyrozumiała. Powinna wiedzieć, w jakim stanie jestem, zamiast tego wolała jednak opowiadać o swoim szczęściu. Zerkąłem na przemian na nią i na stół, zastanawiając się, czy nadal by chciała z nim iść, gdybym ją teraz pocałował. Wiem, jestem samolubem. Uwielbiam, jak wszystko się kręci wokół mnie. Gdyby nawet odwzajemniła pocałunek, do niczego by nie doszło. Po dzisiejszym dniu nie stanąłbym na wysokości zadania. – Ciekawe, jak wygląda nago – pomyślałem, dziwiąc się, dlaczego w ogóle przyszło mi to do głowy. Wydaje mi się, że myślałem o niej tylko dla uwolnienia swoich emocji, albo takie pojebane życie mnie kręci, chociaż to jest mniej prawdopodobne.

Stukałem palcami o stół i zaciskałem zuchwę, zastanawiając się, kiedy w końcu przyjdzie Amelia. Trochę niezręcznie siedziałem z Kornelią, kiedy ta zauważyła, że patrzę jej w dekolt. Czemu zamiast się spieszyć, odwrócić czy mnie upomnieć uśmiechnęła się... Powinna mi coś powiedzieć, a nie patrzeć, jak pożeram ją wzrokiem. Dziękowałem Bogu, kiedy po kilku sekundach patrzenia sobie przenikliwie w oczy, weszła Amelia.

5

Wizja musi się spełnić!

Siedziałem w salonie z Amelią, delektując się kawą, a Kacper rysował jak zwykle coś w swoim kącie. Patrzyłem na nią, nie wiedząc, jak zacząć. Zdążyłem ją już poinformować, że muszę opowiedzieć o czymś ważnym, ale nie było okazji. Kornelia siedziała u nas do późna, więc na chwilę zwierzeń przyszedł czas dopiero wieczorem. Siedzieliśmy tak dłuższy czas, zastanawiając się, jak po incydencie z rana zacząć rozmowę. Kilka razy próbowałem, ale nie wychodziło tak, jakbym sobie tego życzył. - Żeby przeprosiny były takie proste... - pomyślałem.

Przełknąłem ślinę i wziąłem jeszcze jeden łyk kawy, która robiła się już chłodna. Wtedy, bez zbędnego bajerowania, postanowiłem ją przeprosić, nawiązując do moich wizji...

- Kochanie... przepraszam za poranek... - powiedziałem, zaczynając rozmowę. - Nie chciałem, żeby tak wyszło, ale...

- Bałam się - odpowiedziała, przerywając.

- Dlatego nie wiedziałem, jak zacząć rozmowę. „To” zaczęło się tuż przed wypadkiem, pamiętasz, jak opowiadałem ci o wizjach? - zapytałem z nadzieją, że nie spojrzy na mnie jak wtedy... jakby rozmawiała z wariatem...

- Jakoś od tego dnia jesteś nerwowy... ukrywasz coś?

- Właśnie o tym ci chciałem powiedzieć - kontynuowałem, odstawiając kawę. - Boję się... Od jakiegoś czasu mam wizje, w dzień wypadku też taką miałem. Początkowo nie były groźne i, chociaż nie było ich dużo, cholernie mnie to męczyło... Nie wiedziałem i chyba nadal nie wiem, czy są prawdziwe - wydusiłem z siebie, zaciskając żuchwę. - Nie chciałem ci tego mówić...

- Przecież możesz mi powiedzieć o wszystkim...

- Możesz mi nie przerywać? - podniosłem delikatnie głos. Staram się powiedzieć i to nie jest łatwe... Daj mi skończyć... Gdyby nie wizja przed wypadkiem, jestem pewien, że nie powiedziałbym ci o tym wcale, ale po prostu muszę... Ona była najgorsza. Widziałem, jak umierasz! Jak umierasz w czerwonej sukni!... Dlatego rano tak zareagowałem. Nie wiem, co robić, dostaję szału, nie chcę, żeby stała ci się krzywda - dodałem łamiącym się głosem.

Amelia siedziała dłuższą chwilę w ciszy, a ja próbowałem wziąć się w garść. Właśnie wtedy ból głowy zaczął ponownie narastać. Nerwowo szukałem tabletki po kieszeniach. Po zażyciu dwóch i popiciu kawą rzuciłem listek na stół. Amelia spojrzała na mnie, a później na tabletki. Znałem ten wyraz twarzy... Oparłem ręce na kolanach, przytrzymując głowę.

- Wiedziałem, że mi nie uwierzysz... - powiedziałem zawiedziony, patrząc w podłogę.

Amelia siedziała jeszcze chwilę bez słowa.

- Często bierzesz tabletki? - zapytała po namyśle.

- Wiem, do czego zmierzasz... nie wariuję, to nie przez tabletki - powiedziałem poirytowany.

- Tego nie powiedziałam, może po prostu bierzesz ich za dużo... Pomagają ci w ogóle?

- Tak, kurwa, pomagają! A ty, jako żona, powinnaś mi wierzyć. Mam czekać, aż coś ci się stanie?! - krzyknąłem, wzbudzając uwagę Kacpra.

- Kacper! Idź do swojego pokoju - powiedziała Amelia już lekko zdenerwowana. A ty... nie strasz mi syna - dodała szeptem. Dostyc go już nastraszyłeś rano, odstawiając taką szopkę, że Kacper bał się przyjść po szkole do domu... Co ty sobie myślałeś?! Że niby jak zareagujemy?! Jak to w ogóle brzmi? Masz wizję i wszyscy musimy się schować? Widzę, ile bierzesz tabletek, a sam wiesz, że mogą ci zaszkodzić.

- Staram się...

- Teraz ty mnie posłuchaj!... Byłeś na odwyku i już zapomniałeś, jak to się zaczęło? Niespełna pięć lat i znowu zaczynasz... Tylko nie mów, że znów bierzesz się za pisanie... Po raz kolejny bawisz się w jakiegoś pierdolonego pisarza i szukasz weny w używkach? Długo nie trzeba było czekać, masz to chyba po ojcu... Oddaj tabletki!!! - krzyknęła, sięgając w kierunku stolika.

Początkowo nie wiedziałem, jak zareagować. Odepchnąłem ją tak, aby upadła z powrotem na fotel, a sam

schowałem szybko tabletki do kieszeni. Leżąc, patrzyła się na mnie z niepewnością. Nie wiedziała, czego się spodziewać. Wyjdę, przeproszę ją czy może podniosę na nią rękę... Wydawało jej się, że mogłem tak łatwo znieść ból głowy?... Dopiero stojąc nad nią, dotarło do mnie, co zrobiłem. Znowu nie pomyślałem, zachowywałem się coraz gorzej, a to przez brak tabletek.

- Nie rób ze mnie wariata!!! Tabletki są mi potrzebne, przez ten ból nie mogę myśleć, a muszę cię jakoś ocalić...

- Idź już... zostaw mnie... - powiedziała z bezsilności.

To były chyba najgorsze słowa, jakie mogłem usłyszeć. Znowu nie wiedziałem, co powiedzieć. W takiej sytuacji, niestety, musiałem być asertywny i nie mogłem jej przeprosić. Musiała się przekonać, że leki mi nie szkodzą i nie mam chorych wizji. Może wam wydaje się to głupie, ale poszedłem na górę do sypialni, a Amelia nawet mnie nie zatrzymywała. Wolałem, żeby przestała mnie kochać, niż zobaczyć jej śmierć.

Należą wam się chyba wyjaśnienia. Nie byłem alkoholikiem, nie jestem i nigdy nie będę. Mogłem w każdej chwili przestać pić. Nie byłem też idealnym mężem. Nie chciałem przed wami udawać, że jestem. Po prostu kocham swoją rodzinę i staram się dla niej, ale nie zawsze mi wychodzi. Zastanawiałem się, jak napisać o „moim alkoholizmie” - jak to nazwała moja żona. Nawet kilka razy zaczynałem, ale brakowało mi odwagi. Trochę źle się wyraziłem... Nie chodziło tutaj o odwagę, ale nie chciałem,

abyście myśleli o mnie źle. Próbowałem nawiązać do alkoholu, przekazać wam, jak zależy mi na napisaniu książki, ale jeszcze szybciej to usuwałem. Nikomu chyba łatwo nie przychodzi takie tematy.

Nigdy nie piłem do nieprzytomności. Czasem zdarzało mi się wypić trochę więcej, czasem trochę mniej, ale nigdy z tego powodu nie robiłem afer w domu. Amelia przesadziła. Długo nie piłem. Zwykle siadałem przed laptopem i sącząc drinki, próbowałem napisać kilka zdań. Przez rok delikatnie go nadużywałem, ale już jest wszystko w porządku. Piłem sam, zamknięty w sypialni, aby nikt mi nie przeszkadzał. Nie miałem wtedy pracy, więc można mi to wybaczyć. Czasem – nawet teraz – zdarzy mi się jeden drink, ale bardzo rzadko, więc chyba nie można tego nazywać alkoholizmem.

Napisanie książki męczyło mnie już od dawna. Kilka razy byłem nawet blisko jej ukończenia, ale emocje zawsze brały górę. Wpadałem w szal, kiedy coś mi w niej nie wychodziło, i wszystko usuwałem. Alkohol pomagał mi wtedy stworzyć coś dobrego. Tak mi się wydaje, że były to dobre historie, ale nigdy nie dawałem nikomu ich przeczytać. Może się trochę bałem recenzji. Alkohol pomagał mi się bardziej wczuć w historię, którą opisywałem. Nie były to wizje, ale czasem zdarzało mi się przez niego śnić na jawie. Mam nadzieję, że mnie rozumiecie. Wtedy mogłem w każdej chwili przestać pić. To nie fair, że Amelia to wyciągnęła. Byłem artystą, a to wymagało poświęceń. Nie dbałem o siebie, narażałem

swoje zdrowie, aby dać coś innym. Być może myślicie, że szukam na siłę sławy, że chcę robić byle co, tylko żeby coś po sobie pozostawić, ale to nie tak. Pisanie jest moją pasją, to moje przeznaczenie. Byłem do tego stworzony. Zresztą czytasz to, co stworzyłem, więc było warto.

Dochodząc do sypialni, na wszelki wypadek sprawdziłem, czy moje tabletki nadal są w kieszeni. Kończyły mi się i musiałem załatwić sobie receptę. Mój lekarz nie chciał mi ich więcej przepisywać... Czasu miałem coraz mniej, „to już jutro, to już jutro” – powtarzałem, zastanawiając się, jak najlepiej to rozegrać. Nie miałem innego wyjścia, jak tylko zmusić Amelię do pozostania w domu. Analizowałem każdy fragment mojej wizji, każdy szczegół, który mógłby mi w czymś pomóc, aby nie pozostawić niczego na pastwę losu.

- Mam jakiegokolwiek szanse? - zapytałem sam siebie, zaciskając żuchwę. Czerwona suknia, a raczej jej brak, niczego by nie zmieniły, więc nie mogłem być pewien, że ją ocalę. Słyszałem z dołu jakieś głosy. Pamiętam, jak wtedy przestraszyłem Kacpra swoim zachowaniem. Właśnie dlatego Amelia musiała go uspokajać i jakoś mnie usprawiedliwić, abym chociaż u niego nie stracił dobrej opinii. Chyba już u wszystkich ją traciłem i nie umiałem temu zaradzić. Być może właśnie dlatego, gdy byliśmy sami, Kornelia tak na mnie patrzyła. Może to było współczucie, a nie namiętność. Nie jestem babiarzem, więc

mogłem to pomylić. - Nie to jest zresztą teraz ważne - pomyślałem.

- Kurwa, samochód! - powiedziałem do siebie, zastanawiając się, jaki w ogóle sens ma moja wizja.

Nie wiem dlaczego dopiero teraz sobie o nim przypomniałem, ale co to za wizja, w której był samochód, jeśli w rzeczywistości go nie mam? Tak naprawdę nic się nie zgadzało. Rozbijając go, zniszczyłem resztę logiki.

Usiadłem na łóżku, myśląc, jak może się to wszystko potoczyć bez niego. Pójdę tam pieszo? Chociaż, jeśli chodzi o wizję, żadnej roli w niej nie odegrałem. Stałem z boku, przypatrując się, jak mu idzie. Najlepiej byłoby chyba przejechać od razu skurwiela i mieć święty spokój. Nie byłem do końca pewien, która to była godzina. O ile pamiętam, było ciemno, ale jechałem wtedy do pracy. Kurwa, nic się nie zgadzało. Może powinienem się najzwyczajniej zdać na instynkt i wyjechać o godzinie, którą będę uważał za stosowną...

Z łóżka wstałem momentalnie, zarzucając na siebie jedynie kurtkę. Było już późne lato, więc wieczorami robiło się chłodno. Nie powiedziałem nic Amelii. Przeszedłem obok, jak gdyby nigdy nic, spoglądając na nią z troskliwością. - Będzie dobrze, ocalę cię - pomyślałem, uśmiechając się delikatnie. Przeszedłem obok Kacpra i pogłaskałem go po głowie, spoglądając przez chwilę, co rysuje. Szkicował nasze osiedle. Zaczął rysować nasz park, chodnik, kilka drzew. Spojrzałem jeszcze przez chwilę w okno, przez które

widać było nasz ogród. Miałem nadzieję, że uspokoi mnie to chociaż trochę.

Zawsze pomagało, czułem spokój i zadowolenie, że moja rodzina ma swój kącik. Ale nie tym razem. Patrzyłem przez kilka sekund i nic, czułem taki sam niepokój jak wcześniej. Być może dlatego, że już jutro tego kącika może nie być... Poszedłem w stronę drzwi, zaciskając zuchwę w przyływie nerwów. Za sobą słyszałem tylko ciszę, jakiś przeraźliwy szum, jak gdyby miała zaraz nastąpić jakaś tragedia. Na pewno kiedyś to czuliście. Cisza, podczas której można było usłyszeć nawet dźwięk pracującego pod wpływem temperatury domu. Dołujący szum, pokazujący, że tak naprawdę jesteśmy samotni. Przytłaczający szum, który zaciska nam uszy, nie pozwalając myśleć o niczym innym. Czy tylko ja tak mam? Tylko ja, mając w domu żonę... dziecko... miłość... czuję się samotny ze wszystkimi problemami? Zdecydowanie jestem za bardzo zamknięty w sobie.

Umiem rozmawiać z innymi, śmiać się, wygłupiać, ale czy umiem dzielić się z nimi problemami? Nie ufałem na tyle żonie, żeby powiedzieć jej o tym wcześniej i co teraz mam? Chcę się zmienić, pragnę tego, ale nie potrafię. Staram się, ale mi nie wychodzi. Może nie chodzi tu tylko o brak zaufania. Chciałem, żeby było na tyle idealnie, by żadne problemy nas nie dotyczyły. Tak się nie da... Szkoda, że zauważyłem to dopiero teraz. Zmrużyłem delikatnie oczy, jakbym liczył na wybaczenie, pomoc czy chociażby jakieś słowo otuchy. Przełknąłem ślinę, zatrzymując się na chwilę.

- Mam coś powiedzieć, jakoś się zachować? - zadałem sobie pytanie. Nie wypowiadając ani słowa, ruszyłem dalej, złapałem za klamkę, delikatnie ją naciskając.

- A ty gdzie?! - zapytała Amelia donośnym głosem.

Odetchnąłem. Przesłyszało mi się? - Jednak nie było tak źle - pomyślałem, odwracając się niepewnie. Amelia stała, patrząc na mnie podejrzliwie.

- Na chwilę wychodzę, zaraz wrócę. Muszę się przewietrzyć - powiedziałem, próbując znowu załagodzić sytuację.

- Dzisiaj wrócisz?!

- Tak i przepraszam za moje dziwne zachowanie, jutro już będzie dobrze, obiecuję...

Amelia spojrzała na mnie z niedowierzaniem. Łatwo było wyczuć napiętą atmosferę. Nawet Kacper odłożył ołówek i z niepewnością patrzył, jak się zachowam.

- Tak... będzie... bo jutro się twoja wizja wyjaśni... - powiedziała rozczarowana. - Odstaw te tabletki.

Moja nadzieja, która pojawiła się, gdy Amelia się odezwała, szybko zmieniła się w rozczarowanie. Nie dziwię się jej, ja chyba też bym tak zareagował. Nie powiedziałem już nic, tylko po prostu wyszedłem. Zamknąłem drzwi za sobą, zastanawiając się, czy pojutrze będzie już wszystko jak dawniej. Nie miałem pewności, czy będę miał po tym wszystkim inne wizje. Nawet jeśli, nic gorszego nie mogłoby mi się przydarzyć. Omijając trawnik i wchodząc na chodnik, ponownie sprawdziłem, czy tabletki są na swoim miejscu i wyciągnąłem telefon. - Skąd załatwić samochód?

- pomyślałem, wertując moją książkę telefoniczną. Musiałem go mieć, chociażby po to, żeby przejechać tego skurwiela. Nie miałem zamiaru chodzić zamysłony po nocy, jak to zwykle dzieje się w filmach. Przeszukałem dwa razy numery w telefonie, nie tracąc czasu. Amelia na pewno nie dałaby mi żyć, gdybym wrócił nad ranem.

- Witam, Dorian z tej strony - przywitałem się przez słuchawkę ze szwagrem.

- Cześć, co tam? Coś się stało? - zapytał lekko zaspany.

- Mam nadzieję, że cię nie obudziłem... Nic się nie stało. Mam małą sprawę...

- Małą? Jak cię znam, nie będzie taka mała - zaśmiał się Sebastian.

Sebastiana poznałem jakiś miesiąc po Amelii. Był od niej młodszy, więc nie znaleźliśmy się ze szkoły. Czasem, gdy wpadałem do niej do domu, rozmawiałem z nim. Sebastian nie miał tak dobrze w życiu jak my. To znaczy nie miał z niczym problemów, miał pracę, rodzinę, dzieci. Niestety, nie mógł sobie pozwolić na szaleństwa, był obliczony. Nie miał wyjścia, musiał taki być, żeby wystarczyło mu od dziesiątego do dziesiątego. Kilka razy przychodziłem do niego w różnych sprawach. Budując dom, potrzebowaliśmy takiego fachowca jak on, doskonale znał się na wykończeniach. Miałby więcej pieniędzy, gdyby nie był takim dobrym człowiekiem. Za każdym razem, kiedy prosiliśmy go o pomoc, nie brał za to ani grosza. Załatwiał sobie wolne z pracy i przyjeżdżał do nas z myślą, że robi

coś charytatywnie. Wciskaliśmy mu pieniądze, a on kombinował, jak ich nie przyjąć.

Wiedziałem, że jeśli zwrócę się do niego o pomoc, na pewno ją uzyskam. Sebastian miał dwójkę dzieci – chłopca i dla odmiany... chłopca. Jego żona, Violetta, po porodzie miała jeszcze trzy miesiące macierzyńskiego. Sebastian pracował na budowie po dziesięć godzin dziennie. Zajmował się wykańczaniem bloków i kochał tę pracę. Nie wiem, jak mu to szło, ale po pracy był porządny i perfekcyjny. Do firmy nie miał daleko, ale dojeżdżał do niej samochodem, zresztą nie dziwię się. Po tylu godzinach też by mi się nie chciało wracać do domu pieszo. Niestety, byłem w potrzebie i musiałem go o to zapytać. Po wysłuchaniu jego narzekania, wiedziałem, że w końcu i tak się zgodzi.

- Nie będę owijał w bawełnę, zapytam cię wprost... Potrzebuję twojego samochodu na jutro...

- Serio? Samochód? Przecież ty nie możesz prowadzić... Wiem, bo rozmawiałem z Amelią... Co ty odpierdalasz? Możesz zasłać za kółkiem...

- Nie zasłać, potrzebuję go tylko na jutro, musisz się zgodzić – powiedziałem lekko podniesionym głosem.

- Nie, nie pożyczę ci. Nie dlatego, że nie chcę, tylko nie mogę. To dla twojego dobra.

- Kurwa, jak dla mojego dobra?! Dla mojego dobra musisz mi pożyczyć samochód – krzychałem, wiedząc już, że nic z tego nie będzie.

- Przepraszam, ale nie. Amelia mi o wszystkim mówi. Musisz wreszcie odpocząć... To ci najlepiej zrobi, idź spać.

Nie mówiąc już ani słowa, wyrzuciłem telefon na chodnik, zastanawiając się, kogo jeszcze mogę o to poprosić. Zacisnąłem w nerwach pięciokrotnie żuchwę i sięgnąłem do kieszeni, magazynując przy tym ślinę w ustach. Głowa zaczęła mi pulsować. Nie wyciągnąłem całej paczki, wycisnąłem tylko jedną tabletkę, wmawiając sobie, że już więcej nie wezmę. Schyliłem się, aby pozbierać telefon, który leżał w trzech częściach. Wkładając baterię, od razu go włączyłem. Zanim mogłem wpisać PIN, miałem czas na włożenie tylnej klapki, która leżała pół metra dalej.

- Kod PIN, kod PIN - pomyślałem, zastanawiając się, co wpisać. Wiedziałem, że dwie pierwsze cyfry to siedem i siedem, ale co z resztą... Po drugiej próbie udało mi się wpisać poprawnie. Ponownie zacząłem wertować książkę telefoniczną z nadzieją, że ktoś jeszcze przyjdzie mi do głowy. Stałem cały czas w tym samym miejscu, pukając telefonem w usta, jakby miało mi to pomóc w załatwieniu auta.

- Hej... - zacząłem rozmowę.

- No cześć, co tam? Coś się stało?

- Przepraszam, że dzwonię o tej porze, ale mam sprawę. Nie masz wyjścia, musisz się zgodzić...

- No dawaj... o co chodzi? - zapytała sympatycznie.

- Potrzebuję twojego samochodu. Tylko na jeden dzień...

- Co?! Przecież nie możesz prowadzić...

- Tak, wiem, ale to tylko na chwilę, oddam ci go pojutrze, to jest ważne.

- Nie, nie mogę, jutro idę na przyjęcie i jest mi potrzebny.

- Idziesz na przyjęcie? Przecież nie lubisz. Nie lepiej posiedzieć w domu?

- Przecież mówiłam ci... Znowu mam siedzieć sama? Nie myśl tylko o sobie... Mam już załatwioną osobę towarzyszącą i suknię. Teraz muszę iść.

- Nie możecie jechać jego samochodem? Proszę, zrób to dla mnie...

- Nie... Nie zrobię tego dla ciebie. On ma samochód u mechanika.

- Kornelia, proszę cię... Już i tak idę do ciebie, będę za jakieś dziesięć minut...

- Nie przychodź, i tak go nie dostaniesz!

- Dokąd idziesz na tę imprezę?

- Nie dokąd idę, tylko dokąd jadę... Na twoje osiedle, na salę.

Trułem Kornelii dupę jeszcze kilka minut, próbując ją namówić. Wiedziałem, że się zgodzi, była za dobra. Na początku zgrywała twardą i niedostępną, ale tylko na początku. Tak naprawdę była pomocna i miała miękkie serce. Wiem z jej opowiadań, że miała trudne życie miłosne. Każdy facet myślał tylko o tym, żeby ją wykorzystać, a ona była naiwna. Z biegiem czasu zaczęła narastać na niej skorupa, chroniąca ją przed palantami. Sprawiała wrażenie twardej suki, ale nie dla mnie. Wystarczyło ją trochę

poznać. Gdy kilkakrotnie poprosiłem ją o samochód, zaczęła mięknać. Wtedy już wiedziałem, że mi się uda. Byłem u niej, tak jak planowałem, po dziesięciu minutach.

Otwierając drzwi, Kornelia nie wierzyła własnym oczom. Chyba nie sądziła, że naprawdę przyjdę. Odłożyła telefon na komodę przy drzwiach i uśmiechnęła się nieśmiało. Ja uśmiechnąłem się tak samo. Przypomniałem sobie te chwile, kiedy byliśmy sami w domu. Wydaje mi się, że ona też. Lekko zarumieniona, nie mówiąc ani słowa, przesunęła się trochę, robiąc mi wystarczająco miejsca na wejście.

- Ale jesteś uparty... - powiedziała, uśmiechając się do mnie.

Wpuszczając mnie do salonu, zaproponowała kawę, na którą się zgodziłem. Robiło się już wprawdzie późno, ale po jej wypiciu nigdy nie miałem problemów z zaśnięciem. Często zdarzało mi się pić kawę znacznie później, po czym kładłem się spać. Sądząc po ubiorze, Kornelia nie wierzyła, że faktycznie przyjdę. Zawsze widziałem ją w strojach, które podkreślały jej figurę, nigdy w czymś luźnym. Tym razem była w spodniach dresowych i koszulce, pod którą nie miała już nic. Usiadła naprzeciwko mnie po turecku i patrzyła z uśmiechem, jak próbuję wypić gorącą kawę tak, aby się nie poparzyć.

- Ale ty jesteś...

- Ale jestem? Czemu? - zapytałem zaintrygowany.

- Dlaczego przyszedłeś? Wiedziałeś przecież, że jak przyjdiesz, nie będę w stanie ci odmówić...

- Czyli mogę? Myślałem, że będę musiał się bardziej namęczyć - powiedziałem, próbując z nią trochę poflirtować.

- A jednak nie... jestem dla ciebie za dobra.

- Za dobra? Daj spokój, mnie to nie przeszkadza.

Zauważyłem, jak zaczynają szklić się jej oczy. Nie wyglądała, jakby miała zacząć płakać. Bardziej jakby miała ochotę mnie pocałować. - Czyżby coś do mnie czuła? - pomyślałem, zastanawiając się, co zrobić, aby jakoś z tego wyjść. Gdyby ostatnio nie weszła Amelia, z pewnością do czegoś by doszło. Nie chciałem zdradzić żony, a Kornelii zranić. Do skończenia kawy zostało mi jeszcze trochę czasu, więc musiałem ją zagadać. Zacząłem mówić o byle czym. O samochodzie, o Kacperku, o żonie, o rozmowie ze szwagrem, nawet pytałem się o jej jutrzejsze przyjęcie. O wszystko, byle nie pić kawy w ciszy. Ta cisza nie doprowadziłaby do niczego dobrego. Chociaż rozmowa też nie prowadziła.

Miałem wrażenie, że Kornelia przysuwa się do mnie coraz bliżej, uśmiechając się coraz bardziej. Poświęcając się i myśląc o wierności żonie, wypłem resztę jeszcze ciepłej kawy duszkiem, nie zwracając uwagi na to, czy się poparzę. Przepraszając Kornelię za to, że muszę się już zbierać, wręczyłem jej pusty kubek i poprosiłem o kluczyki. Widziałem zawód na jej twarzy, ale nie miałem wyjścia. Wiem, że gdybym dłużej tam pozostał, coś by się wydarzyło. Bez słowa udałem się do wyjścia, dopiero przy drzwiach odwróciłem się, aby ją pożegnać. Wtedy Kornelia mnie

pocałowała. To nie był zwykły pocałunek. Był namiętny, dojrzewał w niej już jakiś czas. Dojrzewał i czekał, aż ona sama się na niego odważy. Wilgotnymi ustami zaczęła pieścić moje wargi, podgryzając je, abym czasem nie uciekł. Odwzajemniłem pocałunek... Na swoją obronę mogę powiedzieć jedynie, że po kilku sekundach zdołałem się opamiętać.

- Przepraszam, nie mogę, przepraszam - dałem radę jedynie z siebie wydusić.

Kornelia nic nie odpowiedziała. Patrzyła na mnie pożądliwie, a ja odwróciłem się i udałem do samochodu. Wsiadłem do niego i trzymając w ręku kluczyki, zastanawiałem się, czy odjechać. - O czym ty myślisz? - zapytałem sam siebie, aby dopuścić do głosu rozum. Kornelia stała wpatrzona w moją stronę, jakby czekała, czy do niej wrócę. Zacisnąłem nerwowo żuchwę i włożyłem rękę do kieszeni z tabletkami. - Nie! - powiedziałem, odpalając samochód. Dopiero w drodze do domu doszło do mnie, co właśnie zrobiłem. Nie wiem, jak mogłem, nie potrafiłem się opanować. Była taka seksowna. Nie wolno mi było się rozpraszać, czekała na mnie ważniejsza sprawa.

Po piętnastu minutach byłem już pod domem. Zbliżała się północ, a ja nadal nie wiedziałem, jak uratować życie Amelii. W normalnej sytuacji martwiłbym się, co zrobić, aby żona nie była zła. Wróciłem w końcu dość późno, ale miałem to gdzieś. Mogłem spać nawet na kanapie, zresztą zasłużyłem sobie. Byłem pewien, że Sebastian zadzwonił już do Amelii i powiedział o samochodzie. Wiem, że zrobił to

wszystko dla mojego dobra, ale zawiodłem się na nim. Byłem pewien, że mi pomoże. Dobrze, że chociaż miałem Kornelię... ale pewność, że niebawem wszystko będzie jak dawniej, przepadła. Od mojej wizji różniło się coraz więcej rzeczy - samochód, ręka, nie wiedziałem nawet która godzina, ale nadal byłem jej pewien i bałem się jak cholera.

Po półgodzinnym siedzeniu w samochodzie, wszedłem do domu i położyłem się od razu na kanapie w salonie. Postanowiłem nie budzić Amelii. Niewyspana byłaby mniej czujna.

Leżałem, wpatrując się w sufit i zastanawiając się, czy mi się uda. Nie mogłem zasnąć, mimo że trwałem w bezruchu już godzinę. Mój umysł brał górę nad zmęczonym już ciałem. Czułem jego każdy skrawek. Ręka, która już się zrosła, pulsowała bez opamiętania. Była jeszcze w gipsie, który miał być ściągnięty po weekendzie. Słyszałem znowu ten przeraźliwy szum ciszy. Szum, który dawał tyle hałasu, że nie mogłem spać. Mętlik w głowie zaczął się napiętrzać, w nerwach zaciskałem żuchwę. - Co ja zrobię?... To już dzisiaj! - powiedziałem do siebie, patrząc na zegarek. Była druga w nocy. Wiedziałem, że już nie zasnę. Oczy zaczęły mi się szklić, ból głowy zaczął narastać. Przełknąłem ślinę, wstałem i podszedłem do mojej kurtki, którą powiesiłem na fotelu.

Tak, wiem... Znowu... ale musiałem.

Wyciągnąłem tabletki i połknąłem dwie. Stałem w pokoju, wpatrzony w okno, za którym był mój ogród.

Zabawne... Jeszcze nigdy nie oglądałem go w nocy. Tracił wtedy cały swój urok. Zamiast uspokajać, dawać szczęście, budził jeszcze większy niepokój. Dostawałem już świra. – Czemu, kurwa, ja? – powiedziałem do siebie. Przecież mógłby to być każdy – dodałem. Poszedłem ostrożnie na górę, aby nikogo nie obudzić. Kacper spał. Pocałowałem go w policzek i udałem się do sypialni. Amelia leżała taka niewinna. Uśmiechnąłem się i przykryłem ją. Było chłodno, a w takie wieczory często łapał ją skurcz. Nie chciałem, aby się męczyła.

Ze stolika nocnego zabrałem laptopa i poszedłem z powrotem do salonu. Nie mogłem zasnąć, więc chciałem tę ciszę wykorzystać inaczej, chociaż przez chwilę myśleć o czymś innym. Usiadłem wygodnie w fotelu, łykając kolejną tabletkę. Nie chciałem, aby w trakcie pracy przeszkodził mi ból głowy. Położyłem laptopa na kolanach i zacząłem pisać o moim życiu. O miłości, pracy, mojej rodzinie, spełnieniu. O szczęściu i o Kornelii. O tym, jak można sobie zniszczyć całe życie romansem. Nie miałem zamiaru opisywać wizji. Wydaje mi się, że nawet nie dałbym rady. Pisanie wreszcie poszło mi szybko. Nawet się nie obejrzałem, jak miałem napisane czterdzieści stron.

Zachowałem to, co napisałem i poszedłem zrobić sobie kawę. Mimo że nie spałem przez całą noc, nie byłem zmęczony. Chociaż nie myślałem o dzisiejszym dniu, humor mi się nie poprawił. Była sobota, dla Amelii normalny dzień pracy, w którym musiałem zapewnić jej bezpieczeństwo.

W oczekiwaniu na kawę poszedłem do łazienki, którą mieliśmy też na dole. Musiałem się ogarnąć po wczorajszym, ciężkim dniu. Oczy podkrążone, włosy rozczochrane, nieogolony... Sprawiałem wrażenie jakiegoś ćpuna, który nie spał już tydzień. Chciałem uniknąć „tego” spojrzenia Amelii, która po kilku minutach powinna zejść do kuchni. Obmyłem twarz zimną wodą, aby chociaż trochę się obudzić. - Kurwa... dasz radę - powiedziałem, patrząc w swoje odbicie. Zdążyłem szybkim ruchem ułożyć włosy jeszcze przed gwizdkiem czajnika. Wyleciałem szybko z łazienki, aby hałas nie obudził Kacpra, i wyłączyłem kuchenkę. Amelia, słysząc hałasy w kuchni, zeszła na dół coraz bardziej poirytowana moim zachowaniem.

- Gdzieś ty kurwa był?! - zapytała jeszcze nie do końca ogarnięta.

- Tutaj, przez całą noc byłem na dole.

- Tutaj?! Czy ty jesteś normalny?! Całą noc?

- Nie chciałem cię budzić, pracowałem - powiedziałem, próbując załagodzić sytuację.

- Pracowałeś?! Zwariowałeś?! Nawet mnie nie denerwuj! Idź spać. Z tobą jest coraz gorzej... Od poniedziałku masz iść już do pracy, a ty znowu swoje... Co z tobą jest?

- Mówiłem ci, to ta wizja. Wszystko ma wydarzyć się dzisiaj... Potem będzie już dobrze.

- Wizja?! Daj z tym spokój... Nie ma żadnej wizji, uroiłeś to sobie... Taka wizja jak kiedyś, gdy piłeś? Zastanów się, czy chcesz mieć normalną rodzinę, czy za

wszelką cenę chcesz się odcisnąć w historii, ale pamiętaj... już się odcisnęłaś w historii mojej i Kacpra, tylko musisz zdecydować, jaki będzie ten odcisk. Idealnego męża i ojca, który robi wszystko dla rodziny, czy chama myślącego tylko o sobie. Albo będziesz się wkręcał w jakieś chore myśli i pisał, albo będziesz mężem i ojcem. Wybieraj, mam cierpliwość, ale nie aż taką. W końcu będę miała tego dosyć.

- To nie tak. Odwiozę cię do pracy...

- Odwieziesz? Czym? Rowerem? Nie możesz przecież na razie prowadzić...

- Pożyczyłem samochód, tylko na dzisiaj.

- Co?! Czy ciebie już do końca pojebało?! Nawet nie chcę z tobą gadać. Pójdę sama, a ty masz iść spać, a jak się wyśpisz, oddasz samochód. Nawet mnie bardziej nie denerwuj!

- Przepraszam, obiecuję, że już jutro będzie normalnie. Zaufaj mi... chociaż raz... Jeśli wizja się nie spełni, uznam, że to przemęczenie. Jeśli się spełni, uratuję cię. Nic więcej nie chcę.

- Idź spać!

Powiedziała wtedy tylko „idź spać”. Próbowałem jej wszystko wyjaśnić, powiedzieć, jak się czuję, a ona odpowiedziała mi na to suche „idź spać”. Nie odezwałem się. Stałem przed nią, trzymając w rękach kubek kawy i zastanawiając się, jak ją mogę przypilnować. Bez słowa poszedłem na górę. Nie miałem wyjścia. Musiałem poczekać, aż wyjdzie do pracy, i jechać za nią. Jeszcze nigdy

nikogo nie śledziłem, zawsze byłem zdania, że to gruba przesada, ale co miałem zrobić? Nie chciała dać sobie pomóc, więc musiałem to rozegrać inaczej. Idąc po schodach, myślałem, jak ma to wyglądać... Wyjść od razu za nią, poczekać kilka minut? Pójść pieszo czy pojechać samochodem? Nie wiedziałem, jak się do tego zabrać. A jeśli napastnik zaatakuje ją faktycznie w drodze do pracy? Nie dałbym sobie z nim rady. Rozsądniej byłoby jechać samochodem. Wszedłem już na górę, nasłuchując, czy Amelia nie wychodzi. Nie mogłem sobie pozwolić na błędy. Stałem przy schodach, chowając się za ścianą korytarza. Musiałem ją mieć na oku. Piłem kawę i nasłuchiwałem, co robi. Wyglądałem jak główny bohater jakiegoś horroru, czekający na okazję zbliżenia się do niej. Zacisnąłem w nerwach żuchwę pięciokrotnie.

- Tato, co robisz? - zapytał zaspany Kacper.

- Kurwa - powiedziałem do siebie, podskakując cały w nerwach. - Idź spać, jest jeszcze wcześnie - dodałem, splawiając chłopaka.

Kacper bez dalszych pytań wrócił do pokoju, jeszcze nie kontaktując, co się dzieje dookoła. W tym samym czasie Amelia wyszła do pracy. Zszedłem szybkim krokiem na dół, odstawiając pusty kubek na stolik w salonie. Podbiegłem do drzwi, spoglądając przez szybkę. Amelia wchodziła już na chodnik, skręcając w lewo. - Teraz - powiedziałem, naciskając delikatnie klamkę. Nie powinienem zostawiać Kacpra samego w domu, ale tam był bezpieczny. Byłem pewien, że nic mu nie grozi. W końcu wizja mówiła coś

innego. Wychyliłem głowę, aby sprawdzić, czy Amelia mnie nie zauważy. Za głową poszła reszta ciała.

Jeden

Dwa

Trzy

Cztery

Pięć...

Nerwy towarzyszyły mi jak nigdy. - Żeby tylko mnie nie zauważyła - pomyślałem, przetykając ślinę. Czułem mrowienie w całym ciele, kiedy skradałem się do samochodu. Spojrzałem jeszcze raz w jej stronę, schowała się już za krzewami, które były na sąsiedniej działce. Otworzyłem drzwi samochodu i wsiadłem. Musiałem tylko sprawdzić, czy przejdzie przez osiedle. Tylko osiedle? Nie wiedziałem już, co myśleć. W wizji było ciemno, tutaj jest jasno... Kilka rzeczy się zmieniło, mogło się też zmienić miejsce. Mam za nią chodzić cały dzień? Odpaliłem samochód, nie tracąc adrenaliny. Łyknąłem pierwszą tabletkę, nie umiałem sobie inaczej poradzić z tym bólem. I znowu ta żuchwa...

Jeden

Dwa

Trzy

Cztery

Pięć...

Wyprowadziłem samochód z podjazdu i ruszyłem w jej kierunku. Jeszcze była bezpieczna, szła jakieś pięćdziesiąt metrów przede mną. Zmęczenie zaczęło dawać mi się we

znaki. Powieki robiły się ciężkie, ale nie mogłem się poddać. Musiałem już tylko pojechać za nią do pracy i mogłem się zdrzemnąć. Nie wydawało się to trudne. Potem wystarczyło odebrać ją jeszcze z pracy i wszystko będzie dobrze. Przejechałem kolejne trzydzieści metrów i zatrzymałem się na podjeździe jednego z sąsiadów, aby Amelia mnie nie zobaczyła. Nikogo dookoła nie było. Wszyscy o tej porze albo byli już w pracy, albo czcili weekend, śpiąc w wygodnym łóżku. - Nic mi nie pasuje - powiedziałem, zastanawiając się, czy czasem nie był to tylko mój wymysł. Amelia pokonała kolejne metry, nie mijając nikogo. Zbliżała się do końca naszego osiedla. Połknąłem zapobiegawczo kolejną tabletkę. - To tylko mój wymysł - wyszeptałem załamany. Kiedy Amelia opuściła osiedle, zatrzymałem się na chwilę, wyciągając tabletki z kieszeni. Wpatrywałem się w nie, zastanawiając się, czemu zawdzięczam moje wizje.

- Kurwa!!! - krzyknąłem, rzucając je gdzieś na podłogę.

Mimo iż byłem pewien, że nic jej nie grozi, pojechałem dalej. Pięćdziesiąt, sto, sto pięćdziesiąt metrów i nic. Nie minęła ani jednej osoby. Ani jednej pierdolonej osoby! Nie było nawet ryzyka napaści, nic się nie działo obok Amelii. Byłem na siebie wściekły, chociaż powinienem się cieszyć. W końcu Amelia żyła, ale to nie był koniec dnia. Pracę kończyła o piętnastej, musiałem ją jeszcze odebrać.

Zbrodnia

Obudziłem się na kanapie i rozciągnąłem leniwie. Spojrzałem w stronę okna, chyba z przyzwyczajenia. Zawsze w sypialni patrzyłem w okno, więc teraz też odwróciłem głowę w stronę jaśniejszego miejsca salonu. Kacper siedział po turecku tuż przy ścianie, rysując kolejne dzieło. Przetarłem zaspaną twarz, wkładając rękę do kieszeni. Poszperałem w niej trochę w poszukiwaniu telefonu, żeby sprawdzić, która godzina. Do końca pracy Amelii zostały jeszcze niecałe trzy godziny. Wstałem z kanapy i podszedłem do Kacpra. Postąpiłem nie fair, zostawiając go od rana. Chociaż nie fair to trochę delikatne określenie... Gdy wróciłem do domu, mogłem to wszystko jakoś naprawić. Zamiast tego wolałem od razu iść spać, nie interesując się tym, co będzie robił Kacper. Podchodząc do niego, wychyliłem się delikatnie, sprawdzając, nad czym teraz pracuje.

- Co tam rysujesz, łobuzie? - zapytałem, próbując przełamać lody.

- Zobaczysz, jak skończę - odpowiedział sucho Kacper.

Zrobiłem krok do tyłu ze zdziwienia. Chłopak nie sprawiał wrażenia obrażonego, że został sam, ale ten ton... Nigdy tak się nie zachowywał.

Rysując, uśmiechał się, jakby przypominał sobie miłą historię, związaną z tym, co robi, ale gdy zapytałem, jego wyraz twarzy diametralnie się zmienił. Wychyliłem się, bardziej, aby zobaczyć, co tam jest. Zrobiłem krok do przodu, starając się nie przeszkodzić chłopakowi.

- Nie patrz! Zobacysz, jak skończę... - powiedział ponownie.

Chociaż nie dawał początkowo nic po sobie poznać, musiał być na mnie zły. Patrzenie na siłę lub karanie go za takie odzywki nic by tutaj nie zmieniło. Miał prawo, ostatnio byłem chamem. Przetarłem ponownie twarz i poszedłem do kuchni. Zrobię sobie chociaż kawę, tylko ona mnie rozumie - powiedziałem, szurając z przemęczenia stopami po podłodze.

Zabawne... Narzekałem kiedyś na nudę i monotonię, a teraz... Miałem tego już dość, tęskniłem za poranną jazdą do pracy, za tym, jak parzyłem sobie świeżo zmieloną kawę, pracowałem, wracałem do domu i cieszyłem się rodziną. Taka codzienność nie napawała mnie optymizmem, ale teraz chętnie bym do niej wrócił. Człowiek docenia jedynie to, co traci. Żeby tak dało się cofnąć czas...

Zalałem sobie kawę i osłodziłem dwiema łyżeczkami cukru. Spojrzałem na zegarek. Minęło dopiero dwadzieścia minut. Nie mogłem przegapić końca pracy Amelii. Wziąłem kubek i poszedłem do salonu. Takie chwile były najgorsze.

Kacprowi nie mogłem przeszkadzać, a nie miałem z kim porozmawiać. Włączyłem telewizor. - Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć... Przejrzałem chyba każdy kanał i nie było niczego. - Za co ja płacę? - pomyślałem, wyłączając go. Spojrzałem ponownie na Kacpra. On zawsze znalazł sobie coś ciekawego do roboty.

Znowu towarzyszyła mi ta przeraźliwa cisza, wygrywająca na przemian z odgłosem tarcia kredki o kartkę. Włączyłem laptopa. Sącząc kawę, wpatrywałem się w niego, zastanawiając się, jak zabić czas.

- Kacper... Wychodzisz dziś do kolegi? - zapytałem z nadzieją, że zostanę sam.

- Nie - odpowiedział, nie spuszczać wzroku z kartki.

- Nawet do tego z nowymi zabawkami?

- Nie.

- Kurwa - wyszeptałem, spuszczać wzrok z powrotem na laptopa.

- Pojedziesz ze mną po mamę? - zapytałem, próbując podtrzymać rozmowę.

- O której? - wyszeptał, nadal wpatrzony w obrazek.

- Na piętnastą.

- Okej.

Już nawet własny syn zaczął mnie olewać. Spławił mnie jakimiś półsłówkami... Przełknąłem kolejny łyk kawy. Zostały mi niecałe dwie godziny do końca jej pracy. Nie wiedziałem, czy dobrym pomysłem jest zabranie Kacpra ze sobą. Nie chciałem, żeby widział, co może się stać. Na pewno nie wpłynęłoby to na niego dobrze. Jest delikatny

i każde złe zachowanie odbijało na nim jakieś piętno. Nie chciałym zresztą, aby zobaczył, jak jego ojciec kogoś zabija. Zacząłem się zastanawiać, gdzie mógłbym go zostawić. Po rozmowie z Sebastianem nie miałem ochoty go o to prosić, wydawało mi się, że i tak by nie pomógł. Kornelia... miała przyjęcie, na pewno musiała się przygotować. Kacper tego dnia byłby dla niej tylko ciężarem.

Wszedłem znowu na nieodpowiedzialnego ojca, ale zastanawiałem się, czy czasem go nie zostawić samego w domu, chociaż wiem, jak na to zareagowałyby Amelia. Chyba nie była mi potrzebna następna wojna. Wsiadając do samochodu, zapytałyby się, gdzie jest Kacper. Oczywiście starałbym się jakoś załagodzić sytuację, mówiąc, jak bezpieczny jest w domu, ale z pewnością nic by to nie dało... Im bliżej było godziny piętnastej, tym więcej myśli przechodziło mi przez głowę. Gdy już ją odwiozę do domu, wystarczy, że nigdzie jej nie wypuszczę - zacząłem obmyślać plan. Zastanawiałem się nad resztą dnia, pijąc kawę. Nie mogłem jej oczywiście powiedzieć, że nie wolno jej nigdzie wychodzić. Postanowiłyby wtedy na złość wyjść. Musiałem być pomocny i załatwić wszystko za nią.

Zawołałem Kacpra, który jeszcze męczył się ze swoim rysunkiem. Zanim odwrócił się w moją stronę, minęło kilka sekund. Ruszyłem w jego kierunku. Gdy przy nim stałem, udało mi się zerknąć, jak mu idzie. To był chyba jego

najlepszy rysunek, chociaż jeszcze sporo miał do dokończenia.

- Jak ci idzie? - zapytałem.

- Nie patrz! - odpowiedział, odwracając kartkę. - Zobaczysz, jak skończę - dodał sucho.

Przełknąłem ślinę i uśmiechnąłem się tak, aby chłopak nie zobaczył na mojej twarzy smutku. Kacper, zamiast odwzajemnić uśmiech, patrzył na mnie z kamiennym wyrazem twarzy. Jakbym nic dla niego nie znaczył. Nawet nie starał się z grzeczności uśmiechnąć, powiedzieć czegoś więcej, prócz suchego „nie patrz!”. Po kilku sekundach wpatrywania się w moją twarz, odwrócił się ponownie, aby posprzątać porozrzucane na podłodze kredki.

- Posprzątasz później, musimy już jechać - powiedziałem, łapiąc go za rękę.

Nie mieliśmy zbyt wiele czasu. Musiałem wyjechać prędkiej, na wypadek gdyby były korki. Kacper spojrzał na mnie bez słowa, po czym wstał z podłogi i zaczął mnie ciągnąć do samochodu. Zmieszany, nie miałem pojęcia, jak się zachować. Kacper ostatnio stał się zupełnie innym dzieckiem. Chłopak nie rozumiał całej sytuacji, może tak właśnie radził sobie z trudnymi sprawami. Nie miał pojęcia, co tutaj się dzieje, nie wiedział, że próbuję ocalić jego matkę. Może podsłuchiwał moje rozmowy z Amelią i coś źle rozumiał?

Czułem się jak męczennik tracący rodzinę w zamian za jej życie. Otworzyłem Kacprowi drzwi samochodu i wpuściłem go na tylną kanapę. Sam natomiast udałem się

w stronę bagażnika. Otworzyłem go, szukając czegoś do obrony. Spod koła zapasowego wyciągnąłem klucz. - Tak, jak w wizji - powiedziałem do siebie, zamykając bagażnik. Ściskając klucz w ręce, jakbym już chciał poćwiczyć chwyt, przeszedłem w kierunku drzwi kierowcy. Zaciskając żuchwę pięciokrotnie, stanąłem jak sparaliżowany, zastanawiając się, czy klucz wystarczy. W myślach szkicowałem chyba wszystkie możliwe scenariusze zdarzenia. Moment, w którym wyciągnę go z samochodu i zacznę się nim bronić, kiedy uderzę napastnika w głowę. - Wystarczy - wyszeptałem, wrzucając go na tylną kanapę.

- Po co ci ten klucz? - warknął groźnie sąsiad, patrzący na mnie chyba już od dłuższego czasu.

- Co? - zapytałem, wracając na ziemię.

- Pytałem, po co ci ten klucz... - powiedział groźniej niż za pierwszym razem.

Mężczyzna patrzył na mnie, jakby podejrzewał, że chcę coś zrobić Kacprowi. Spojrzał na tylną kanapę, zwracając uwagę na wyraz twarzy chłopaka, potem na mnie. Jakby chciał powiedzieć „wpuść chłopca skurwielu i zostaw ten klucz”.

- Jest wyrobiony, a ciągle zapominam kupić nowy, muszę go mieć na widoku - zaśmiałem się, próbując rozluźnić atmosferę.

Sąsiad patrzył na nas jeszcze dłuższą chwilę bez słowa, po czym kiwnął głową na znak, że zrozumiał, i wrócił do domu. Wsiadłem do samochodu, przecierając twarz

w przypiływie adrenaliny. Spojrzałem w stronę Kacpra i wychyliłem się, próbując sięgnąć po jego pas.

- Pasy trzeba zapinać - powiedziałem przyjaźnie, zabezpieczając synka. - Kocham cię - dodałem, uśmiechając się.

Kacper nic nie powiedział. Patrzył przed siebie na mury naszego domu. Jakby kogoś tam widział. Spojrzałem w tym samym kierunku, przecierając ponownie twarz i zaciskając żuchwę w nerwach. Nikogo nie było.

- Na co patrzysz? - zapytałem.

- Jedziemy już? - odpowiedział, nadal nieobecny.

Odpaliłem samochód i na wszelki wypadek sprawdziłem, czy klucz leży na swoim miejscu. Kacper trzymał go w ręce, zamykając oczy. Sprawiał wrażenie, jakby chciał sobie o czymś przypomnieć. Spojrzałem na klucz. Ścisnął go jedną ręką i pocierał jego zagięcie drugą.

Wyjechałem z podjazdu, skręcając w drugą stronę. Musiałem sprawdzić, czy poznam gdzieś napastnika. Przejechałem całe osiedle, zawracając na jego końcu. Potem ruszyłem pod firmę Amelii. Udało mi się przyjechać na czas. Zaparkowałem najbliżej jak tylko się dało. Zostało mi jeszcze jakieś pięć minut. Parking był duży, mieścił jakieś sześćdziesiąt samochodów. Żadne miejsce nie było zajęte. Parking dla pracowników był tuż obok, ten był przeznaczony jedynie dla klientów. Spojrzałem ponownie na Kacpra, który nadal trzymał klucz. Cały czas był nieobecny. Patrzył przed siebie, poruszając ustami, jakby coś mówił.

- Kacperku? - odezwałem się, aby obudzić go z tego amoku. - Kacper! - zawołałem ponownie.

- A ty jeszcze go nie oddałeś? - zapytała Amelia, otwierając drzwi samochodu.

- Mówiłem, że dzisiaj oddam... Wsiadasz?

Amelia stała tak jeszcze chwilę, zastanawiając się, czy na pewno ze mną wszystko w porządku. Tak wywnioskowałem po jej wyrazie twarzy. Nie mam pojęcia, dlaczego tak zareagowała, przecież nie musiała dzięki mnie wracać do domu pieszo. Powoli zaczęło jej przeszkadzać wszystko, co było związane ze mną. Czasem miałem wrażenie, że faktycznie bierze mnie za niepoczytalnego. Chyba próbując sprawdzić moje zachowanie, zapytała się synka, co robił i jak mu minął dzień.

Kacper spojrzał w jej stronę, nie wyduszając z siebie ani słowa. Amelia, robiąc kwaśną minę, zerknęła na mnie. Jakby chciała powiedzieć „pogadamy w domu”. - Kurwa, oni już kopią leżącego - pomyślałem, spuszcżając głowę. Kiedy Amelia zajęła miejsce na przedzie, Kacper zerknął na mnie, uśmiechając się, jakby był z czegoś dumny. Wtedy pierwszy raz w życiu się go przestraszyłem. Chłopaka, który był zawsze uśmiechnięty i pomocny. Zawsze chciał ze mną spędzać czas, bawić się, pokazywać swoje dzieła. Może to się zmieniło właśnie przez rozmowę z Amelią? Może bał się, że zrobię jej krzywdę. Widziałem, że tracę z nim kontakt, ale nie tylko ja to zauważyłem, Amelia też.

Wyjeżdżając z parkingu, zastanawiałem się, jaką drogą wrócić, aby przypadkiem nie napotkać napastnika. Kacper

jednak był czujny i nie pozwolił wracać mi inną, dłuższą drogą. Spieszyło mu się do domu, musiał skończyć swój rysunek. Jechałem uważnie, rozglądając się dookoła. O tej godzinie ludzie siedzieli w domach i odpoczywali po ciężkim tygodniu. Minęliśmy jedynie mężczyznę z psem i jakąś parę obściskującą się na trawniku. Moją czujność wzbudził tylko jeden samochód, który jechał od początku za nami. Zwalniałem przy skrzyżowaniach, on zwalniał razem ze mną. Przyśpieszałem, on również przyśpieszał. Nie miałem pojęcia, kto to był. Samochodu nie poznawałem, a tym bardziej kierowcy. Zastanawiałem się, co zrobić, aby go zgubić. Skręciłem na najbliższym skrzyżowaniu w prawo, wysłuchując narzekań rodziny. Próbowałem namówić ich do zakupów, ale bezowocnie. Dla Kacpra ten rysunek był naprawdę ważny, a ja nie miałem ochoty znowu panikować i wkurzać Amelii.

- Wjadę chociaż do „Maka” - powiedziałem, usprawiedliwiając się strasznym pragnieniem.

Całe szczęście udało mi się ich chociaż na to namówić. Skręciłem do McDrive'a, wypatrując, gdzie jest ów samochód. Odetchnąłem z ulgą, gdy zamawiając colę dla wszystkich, widziałem, jak jedzie dalej. Co prawda przejeżdżał wolno, ale nie skręcał tam, gdzie ja. Byłem coraz pewniejszy, że uda mi się ocalić Amelię. Płacąc w następnym okienku, odebrałem napoje i wyjechałem na drogę. - Kurwa - pomyślałem widząc „ten” samochód ulicę dalej. Wszedł z niego średniej budowy mężczyzna. Krótco ostrzyżony, w wieku trzydziestu lat. - Wygląda jak

morderca - pomyślałem, denerwując się coraz bardziej. Stojąc w bezruchu, patrzył się w naszą stronę. Trzymał coś w ręce. Nie miałem pojęcia co. Byłem zdenerwowany i bardzo skupiony na tym, jak wygląda. Zastanawiałem się, co robić. Wydawało mi się, że czeka właśnie na nas. - Kurwa, nic się nie zgadza - pomyślałem. Rozejrzałem się dookoła, zastanawiając, którą drogę wybrać.

- Dorian! Jedziemy już do domu - powiedziała Amelia, tracąc cierpliwość.

Spojrzałem na nią ze strachem i przelękając ślinę, ruszyłem do przodu. Jechałem wprost na niego, zwracając uwagę na to, co robi. Przejechałem obok, wtedy mężczyzna przeszedł na drugą stronę. - Ja pierdolę, to nie on... - odetchnąłem z ulgą. Amelia spojrzała na mnie, robiąc kwaśną minę. Była pewna, że znowu zacznę panikować. Aby nie wkurzać jej nadto, zacząłem udawać, że to wszystko przez nawrót bólu głowy. Udowadnianie jej, że mam rację, uznałem za bezsens.

Po przyjeździe do domu, Kacper od razu wybiegł z samochodu i poleciał do drzwi wejściowych, ciągnąc za klamkę.

- Zamknięte!!! - powiedział, pospieszając мамę, która miała klucz.

Amelia wyszła z samochodu bez słowa i otworzyła drzwi Kacprowi. Chłopak wbiegł do środka, jakby go ktoś gonił, i dorwał się do rysunku, aby go skończyć. Ja natomiast siedziałem jeszcze w środku, zastanawiając się, czy już po

wszystkim. Tak miały skończyć się moje wizje? Wszystko było takie realistyczne i po co? Żebym tylko zrobił z siebie pajaca? Schyliłem się i wyciągnąłem spod fotela pasażera moje tabletki.

- A ty idziesz? - krzyknęła Amelia, wychylając głowę przez drzwi.

- Tak, za chwilę, muszę trochę ogarnąć samochód przed oddaniem - odpowiedziałem, tłumacząc się.

Otworzyłem pudełko z tabletkami. Miałem ich jeszcze osiem. Wyciągnąłem cały listek i rzuciłem na fotel. W środku była ulotka. Rozwinąłem ją, aby sprawdzić skutki uboczne. Szukałem już wytłumaczenia wszędzie. Gdzieś musiała się kryć odpowiedź. Coś musiałem przeoczyć. Przejrzałem w skrócie całość, aż dotarłem do objawów.

Objawy wczesne, które mogą pojawić się natychmiast to:

- nudności i wymioty,
- zaparcia,
- zawroty głowy,
- nadmierne pocenie się,
- uczucie mrowienia dłoni i stóp,
- zaburzenia mowy,
- zwężenie lub rozszerzenie źrenic.

Przედawkowanie leku może spowodować:

- problemy z oddychaniem,
- utratę przytomności,
- spadek temperatury ciała,

- bladą i zimną skórę,
- złudzenia,
- śpiączkę,
- śmierć,
- uszkodzenie mózgu.

- Ja pierdołę - powiedziałem, patrząc na ulotkę z tępym wyrazem twarzy.

Trzymałem ją w ręku, łącząc wszystkie fakty. Śpiączka... Wizje... Zawroty głowy... Zacząłem sobie przypominać krzywdy, które wyrządziłem wszystkim dookoła, będąc pewnym swojego zdania. Nie dałem sobie wmówić, że nie mam racji. Spojrzałem na tylną kanapę. Zacisnąłem żuchwę, gdy zauważyłem klucz. Wysiadając z nim z samochodu, ponownie zacisnąłem żuchwę. Sąsiad był na swoim podjeździe. Mył samochód, zerkając w moją stronę z nadzieją, że tego nie zauważę. Nie wzbudzając jego uwagi, odłożyłem klucz na swoje miejsce i poszedłem do domu. Pierwsze, co musiałem zrobić, to przeprosić żonę i synka. Pozostało mi najtrudniejsze, bo nie miałem pojęcia, jak to zrobić. Mówią, że najlepszym sposobem jest powiedzenie wprost, ale chyba zdążyliście mnie już poznać na tyle, iż wiecie, że tego nie zrobię. Wolałem jeszcze trochę to przeczekać i odespać resztę nieprzespanej nocy.

Wszedłem do salonu. Kacper nadal męczył się z tym samym obrazkiem, Amelia siedziała już przed telewizorem z kawą.

- Kawy? - zapytała, nie pozwalając mi zostać samemu.

- Pójdę się zdrzemnąć, zmęczony jestem - powiedziałem, uśmiechając się do niej.

Chociaż o wizjach nie mówiłem Amelii dopiero pół dnia, cieszyła się, że wreszcie mi to przechodzi. Towarzyszył jej oczywiście strach, że znowu zacznę, ale wydawało jej się, że wszystko będzie już dobrze. Próbowałem przeprosić ją za wszystko, ale wygrywała moja nieporadność. Zamiast powiedzieć konkretnie, czego żałuję, zacząłem coś dukać, po czym poszedłem do sypialni i położyłem się na łóżku.

Znowu, zamiast stawić czoła przeciwnościom, uciekłem... Wchodząc do sypialni, spojrzałem w lewą stronę. Okno było uchylone, a ja - zamiast jak zwykle podejść do niego, spoglądając na ogród - położyłem się. Zamknąłem oczy, marząc o spokoju. Przyjemny powiew chłodnego powietrza poruszał zasłonę, muskając moje policzki. Leżałem beztrąsko i wreszcie spokojnie mogłem odpłynąć, oddając się w całości odpoczynkowi. Głowa mnie nie bolała, ale starałem się nie zwracać na to uwagi. Może sobie to wmawiałem, może mój ból był urojony... Nie mogłem już w nic wierzyć, być może wszystkie moje problemy wzięły się z tego bólu?... Stawałem się coraz lżejszy, moje powieki natomiast coraz cięższe. Przestałem myśleć o czymkolwiek.

Obudziłem się wieczorem. Za oknem zaczęło się już robić szaro. Przeciągnąłem się leniwie i wstałem, żeby zamknąć okno, jak to zwykłem robić. - Muszę oddać ten samochód - powiedziałem do siebie, wychodząc z sypialni. Nie

poszedłem tym razem do łazienki, zbiegłem od razu na dół. Siłą otwierając zaspane jeszcze oczy, znalazłem się w kuchni. Otworzyłem świeżą paczkę kawy, delektując się jej zapachem. Wsypałem trzy łyżeczki do filiżanki i zalałem wrzątkiem. Gdy trzymałem czajnik w ręce, piorunujący ból głowy ogłuszył moje ciało. Położyłem czajnik na stole i usiadłem na krześle. Ból był nie do wytrzymania.

Nie miałem zamiaru brać już tych tabletek. Do niczego dobrego mnie nie doprowadziły. Oplatając głowę rękoma, czekałem, aż ból chociaż trochę da za wygraną. Zawsze najgorsze były początki, kiedy pulsujące impulsy atakowały najpierw umysł, potem całe ciało. Po kilku sekundach mogłem dopiero na tyle się ocknąć, aby zażyć lekarstwo. Udało się... Ból zdawał się być znośny. Mogłem wstać z krzesła i odnieść czajnik. Zabrałem kawę i poszedłem do salonu, w którym nie było nikogo. Kacpra kredki były już posprzątane. Spojrzałem ponownie przez okno i wyciągnąłem telefon. Była już dziewiętnasta. Czułem się jak na kacu, ale nie alkoholowym, tylko moralnym. Zachowałem się jak dupek. Byłem już przygotowany na to, żeby przeprosić po ludzku, prosto z serca. Szkoda, że teraz nie miałem kogo. Usiadłem na kanapie w salonie, myśląc nad kolejnymi zdaniemii mojej książki. Byłem już na tyle daleko, że miałem zarys całości. Do jej skończenia brakowało mi jedynie czasu. Po chyba piątym łyku usłyszałem tupot Kacpra, który wbiegł do salonu z kartką w ręce. – To sobie nie popiszę – pomyślałem. Chłopak zachowywał się wreszcie normalnie, jakby podczas mojego

snu wszystko mu przeszło. Było tak jak dawniej, przed moimi wariacjami. Uśmiechnąłem się, widząc nadzieję powrotu do normalności.

- Gdzie jest mama? - zapytałem dociekliwie.

W domu było cicho jak nigdy. Zawsze albo Kacper się bawił, rysował, biegał, albo Amelia coś robiła, przez co można było poczuć, że nasz dom to nie tylko mury. To życie, ale nie tym razem. Znowu panowała ta przeraźliwa cisza, której tak nienawidziłem. Wywoływała niepokój i przeczucie, że zaraz coś się wydarzy. Najgorsze było to, że nikt nie wiedział, co...

- Poszła do sklepu po ciasto. Kupi moje ulubione - powiedział dumnie.

- Do sklepu? Mówiła, że nigdzie dziś nie wychodzi... - powiedziałem z niepokojem.

- Skończyłem już rysunek - dodał Kacper, zmieniając temat.

Wyciągnął rękę do przodu z dumnym wyrazem twarzy. Wiedziałem, że czeka na pochwałę. Chwyciłem obrazek, niechcący upuszczając kubek z kawą. Spojrzałem na rysunek, potem na Kacpra, zaciskając zuchwę pięciokrotnie. Głowa zaczęła mnie boleć jeszcze bardziej. Patrzyłem i czułem jak bledną. Twarz zaczęła mi mrowieć, a nogi robić się jak z waty.

- Skąd, kurwa, o tym wiesz?! - krzyknąłem na chłopaka. Wydaje ci się, że to jest zabawne?! - dodałem, psując coraz lepsze już relacje z synem.

Kacper zrobił krok do tyłu, płacząc ze strachu. Miał minę, jakby nie wiedział, o co mi chodzi. Jak mógł, kurwa, nie wiedzieć? Na pewno zrobił to specjalnie... Walczyłem ze sobą, aby go nie spoliczkować, nie dać mu żadnej kary... Na rysunku widniały obrzeża naszego osiedla, a przy chodniku leżała kobieta. Była to kobieta w czerwonej sukni. Leżała tak, jak to wtedy widziałem. Taka sama pozycja, to samo miejsce, ta sama kobieta... Na rysunku również nie było widać twarzy. Nadal też nie wiedziałem, kim był napastnik. Nie było go na rysunku.

- Kacper... skąd o tym wiesz? Powiedz mi, proszę... - zapytałem ze łzami w oczach.

- Nie wiem... - odpowiedział mi płaczliwym głosem.

Amelii nie było, więc powiedziałem Kacprowi, żeby został w domu i nikomu nie otwierał. Ja natomiast zabrałem klucze ze stolika i wybiegłem do samochodu. Wyjechałem z podjazdu, nie patrząc za siebie. Najważniejsze było, abym zdążył. Zahaczyłem samochodem o kosz na śmieci, który wystawiliśmy przed posesję, i ruszyłem przed siebie. Wszystko było jak w mojej wizji...

- Kurwa!!! Kurwa, Kurwa! - krzyknąłem z bezsilności, uderzając z całych sił ręką w kierownicę.

Głowa bolała mnie coraz mocniej. Jechałem na koniec osiedla, spoglądając na tabletki. Po drodze nie widziałem nikogo - codzienny spokój, który tylko ja swoją jazdą zaburzałem. Minąłem ostatni dom na osiedlu i zbliżałem się do parku, przy którym miało się wszystko zdarzyć.

Zwolniłem, rozglądając się uważnie. Serce zaczęło mi wolniej bić.

- To ona... - wyszeptałem. Patrzyłem w ich stronę z uczuciem, jakby czas zatrzymał się w miejscu. Słyszałem uderzenia swojego serca na przemian z pulsowaniem głowy. Kobieta w czerwonej sukni... Była już ogłuszona przez mężczyznę. Napastnik objął ją, dociskając do siebie. Zsuwał ją teraz delikatnie po swoim ciele, aż w końcu położył na chodniku. Suknia wyglądała jak ta, którą miała na sobie Amelia.

- Miała się jej pozbyć!!! - krzyknąłem do siebie. Czemu mnie, kurwa, nie posłuchała! - dodałem.

Mężczyzna, kładąc ją na chodniku, podbiegł do jej torebki, która leżała metr dalej.

- Kocham cię - powiedziałem, naciskając pedał gazu.

Zamknąłem oczy i przejechałem przez krzewy, które dzieliły mnie od napastnika. Usłyszałem uderzenie. Odgłos, który przyprawił mnie o ciarki na plecach. Nigdy nie potraściłem człowieka i sądziłem, że takie odgłosy w filmach są grubo przesadzone. Myliłem się, ja słyszałem teraz to samo. Tuż przed napastnikiem skręciłem w lewo. Starąłem się, aby nie zostawić żadnego śladu na samochodzie. Udało mi się uderzyć go jedynie zderzakiem, ale wystarczająco mocno, żeby stracił przytomność. Przetoczył się po boku maski, uderzając jakąś częścią ciała w szybę. Nie wiem jaką, wszystko działo się tak szybko. Szyba pękła, wydając przeraźliwy dźwięk, a ja zacisnąłem zuchwę, powtarzając jedynie „nie, tylko nie to”.

Uderzając o szybę, mężczyzna przetoczył się do dachu. Zacząłem zwalniać, a jego ciało robiło kolejne wgniecenia, odciskając ślady na samochodzie. Zahamowałem kilka metrów dalej, patrząc w lusterko. Nie ruszał się. Nie miałem czasu, musiałem sprawdzić, czy Amelia żyje. Wybiegłem z samochodu, potykając się o kępkę trawy. Asekurując się przez chwilę rękoma, nawet nie zatrzymałem się. Kobieta leżała w bezruchu, a ja stałem tuż przy niej, bojąc się sprawdzić, czy to prawda. Zacisnąłem pięciokrotnie zuchwę, kucając nad ciałem. – Muszę to zrobić – wydusiłem z siebie. Odwróciłem ją na plecy, aby sprawdzić puls. Ciało było bezwładne. Musnąłem jej ramiona i odrzuciłem włosy z twarzy...

– Kornelia?! – powiedziałem z niedowierzaniem.

Dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że to ona! Mówiła mi przecież o imprezie przy naszym osiedlu, sukni, osobie towarzyszącej... Sprawdziłem puls, którego zresztą nie można było już wyczuć. Zacząłem szlochać jak dziecko. Wszystkie moje starania poszły na marne... i po co to?! Usiadłem przy niej w poczuciu bezsilności i trzymałem ją za rękę, muskając drugą po policzku. – Czemu przyjechałem tak późno? – zadawałem sobie pytanie. Miałem szansę ją uratować i wszystko spierdoliłem. Na przemian zaciskałem zuchwę w nerwach i całowałem jej usta. Była jeszcze ciepła. Ręce mi się trzęsły, a ból głowy narastał, był już nie do wytrzymania. – Jeszcze ją mogę uratować – pomyślałem, robiąc sztuczne oddychanie. Musiało się udać, przecież nie mogła tak zginąć. Nieporadnie zacząłem jej robić masaż

serca. Trzydzieści uciśnień, jeden wdech? Dwadzieścia trzy i wdech? – starałem się przypomnieć sobie zasady pierwszej pomocy. Nic nie dawało rezultatu. Wiedziałem, że już jest za późno, mimo to próbowałem, tracąc cenny czas i ryzykując, że ktoś mnie tam zobaczy...

- Za późno – powiedziałem przez łzy. Przytulając Kornelię, zerkąłem na napastnika.

- Ty skurwielu! – krzyknąłem, wstając do niego.

Wiedziałem, że mężczyzna już nie żyje, mimo to zacząłem go kopać. Nie byłem zwyrodnialcem. To był ostatni akt bezsilności. Upadając na ziemię, musiał uderzyć głową o chodnik. Plama krwi była dość spora. Między nim a Kornelią leżała torebka z rozsypaną zawartością. Kopnąłem ciało mężczyzny, aby zobaczyć jego twarz. Nie znałem go... Tuż obok ciała napastnika leżała strzykawka w insulinę.

Patrzyłem na nią, mrużąc oczy i przypominając sobie ich zachowanie...

- Nie, nie, nie... nie wierzę... czemu?! Kurwa, miałaś cukrzycę, tak?! – krzychałem w stronę Kornelii, jakbym czekał na odpowiedź.

Stojąc pomiędzy nimi myślałem, co zrobić dalej. – Pójdę siedzieć, na pewno pójdę siedzieć! – pomyślałem, a przed oczami stanęła mi rodzina. Jak mam zostawić Amelię i Kacpra na pastwę losu? Nie daliby sobie rady beze mnie. Nie miałem dużo czasu. Byłem pewien, że po moich krzykach mieszkańcy zaraz się tu zlecą. Pobiegnę do samochodu i podjechałem w miejsce, w którym zahaczyłem

o krzewy. Otworzyłem bagażnik, robiąc w nim więcej miejsca.

- Chodź tu... - powiedziałem do mężczyzny, łapiąc go za nogi.

Zaciągnąłem go pod sam bagażnik i wrzuciłem do środka. Zaciskałem cały czas żuchwę, powtarzając „wszystko będzie dobrze”. Przykryłem go kocem, który Kornelia woziła w samochodzie. - Zajmę się tobą, powiedziałem do mężczyzny. Plama krwi na chodniku była duża, ale nie na tyle, żebym sobie z nią nie dał rady. Mężczyzna, upadając, odbił się od chodnika i wleciał w trawę. Płynem do spryskiwaczy, który również woziła w bagażniku, wyczyściłem wszystkie ślady. Zamknąłem bagażnik i stojąc nad Kornelią i jej torebką, złapałem się za głowę. I co teraz? Uciec czy zadzwonić po pogotowie i powiedzieć, że chciałem pomóc... Nie wiedziałem, co zrobić... Nie chciałem zostawiać rodziny samej, a gdyby policja mnie tam zastała, zaczęłaby się tym interesować. Mimo to - zamiast uciekać - stałem w bezruchu, nie mogąc uwierzyć, że wizja się spełniła.

- Rusz się! - mówiłem do siebie, próbując zrobić cokolwiek.

Ocknąłem się dopiero po kolejnym, pulsacyjnym uderzeniu bólu głowy.

Raz...

Dwa...

Trzy...

Cztery...

Pięć...

Zacisnąłem zuchwę, wbiegając do samochodu. Tak, uciekłem! Uciekłem z trupem w bagażniku i ze łzami w oczach. Zaciskałem w nerwach zuchwę w rytm pulsującej głowy. Wyjechałem od razu na główną drogę na Kalisz i udałem się w stronę ronda. Musiałem uciec z Jarocina gdzieś, gdzie nie było ludzi. W mieście nie miałbym chwili spokoju, zgiełk nie dawałyby mi pomysłu. Pokonując rondo, pojechałem w kierunku Witaszyc. Ominąłem las, skręciłem w prawo. Wjechałem w pierwszą leśną drogę. O dwudziestej nie chodził tamtędy nikt. To było jedyne miejsce bez szlabanu. Pokonując kilkanaście metrów, zatrzymałem się na małej polanie. Wyłączyłem silnik i bez słowa patrzyłem na drzewo rosnące tuż przede mną. Nie chciałem dopuścić do siebie emocji, myśląc, co przed chwilą się wydarzyło. W ciszy nie wytrzymałem długo. Przypominając sobie leżącą Kornelię, wybuchłem.

- Nie!!! Boże, nie!!! - krzyczałem, uderzając ręką w kierownicę.

Nie wiem, jak to się mogło stać, przecież wszystko miałem tak dobrze zaplanowane. Nie miałem pojęcia, jak się teraz z tego wywinąć. Byłem szczęśliwy, że nie była to Amelia, ale dopiero teraz zrozumiałem, że coś do Kornelii czułem. Gdyby nie ja, na pewno by jeszcze żyła. Sięgnąłem po tabletki, które zostawiłem na fotelu. Połknąłem od razu trzy z nadzieją, że pomogą mi się uspokoić.

Siedziałem cały czas w samochodzie, płacząc z bezsilności. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego uciekłem.

Przecież wystarczyło tam zostać. Wezwałbym pogotowie i powiedziałbym, że widziałem, jak zasłała. W końcu ją znałem, uwierzyliby mi, że szukałem w jej torebce insuliny. A rozjechane krzaki? Zatrzymałem się w nich, aby jej pomóc. Na pewno nie sprawdziliby mojego bagażnika, a ja mógłbym pozbyć się ciała ze spokojem. Zawsze najpierw robię, potem myślę. Serce biło mi coraz szybciej, a ręce się trzęsły. Nie miałem pojęcia, czy to przez tabletki czy nerwy. Nigdy nie brałem tylu tabletek. Patrzyłem nadal na drzewo przede mną, zaczynając do siebie mówić.

- I co dalej? Czemu nie mam wizji, jak z tego gówna wyjść? - zapytałem, patrząc w niebo. - Pierdolę takie wizje!!!

Wziąłem w ręce rysunek Kacpra, który w pośpiechu zabrałem do samochodu. Nie miałem pojęcia, skąd o tym wiedział. Przecież nie rozmawialiśmy o tym nigdy w jego towarzystwie. Zacząłem zadawać sobie pytanie, czy może miał z tym coś wspólnego... Być może miał jakiś zmysł, ale w tym wieku? Brakowało mi na to wszystko sił. Nie chciałem, aby skończył tak, jak ja. Zabijając kogoś albo niszcząc sobie życie w inny sposób. Jak można powiedzieć, że Bóg istnieje? Traktuje wszystkich równo, jest miłosierny... Jeśli jest, niech zlituje się chociaż nad moim synkiem... - Czym on zawinił? - zadawałem sobie pytanie.

Siedziałem tam jakieś pół godziny, zastanawiając się, co zrobić. Do głowy przychodziło mi kilka pomysłów, ale co jeden to gorszy. Naoglądałem się sporo filmów, których bohaterowie mieli różne koncepcje. Wszystkie wydawały się

idealne, ale szkoda, że tylko na początku... Prędzej czy później i tak morderstwa zostawały wyjaśnione. Byłem pewien, że moją zagadkę też ktoś rozwikła. To była tylko kwestia czasu. Miałem jedynie nadzieję, że stanie się to dopiero za kilka lat, kiedy Kacper trochę podrośnie. Może po dwudziestu latach jakiś policjant od spraw niewyjaśnionych zacznie pracować nad moją? Proszę... tylko nie teraz... Wszedłem z samochodu, aby sprawdzić jeszcze raz ciało mężczyzny. Wszystko działało się szybko i mogłem się pomylić co do jego śmierci. Może jeszcze żył... Otworzyłem bagażnik i ściągnąłem z niego koc. Sprawdziłem puls na szyi, ale była już zimna. Mimo to starałem się wyczuć chociażby najmniejsze oznaki życia.

- Kurwa! - krzyknąłem.

Rozejrzałem się dookoła, sprawdzając, czy nikt mnie nie usłyszał. Odetchnąłem z ulgą, nie było nikogo. Zakryłem mężczyznę zakrwawionym kocem i zamknąłem bagażnik.

Wsiadając do samochodu, spojrzałem na godzinę. Była dwudziesta trzydzieści. - Mam jeszcze czas - pomyślałem, odpalając samochód. Zostało mi pół godziny, aby dojechać do mojej firmy. Waga, która przyjmowała odpady, była czynna do dziewiątej wieczorem. Wyjechałem z lasu, wracając do Jarocina. Przejazd zajmował trochę czasu, więc musiałem się śpieszyć. Przejechałem przez rondo, wjeżdżając od razu w ulicę Wojska Polskiego. Dojazd do pracy nie był trudny, musiałem jedynie jechać tą ulicą prosto kilka kilometrów, dojechać do pomnika glana i skrócić w prawo. Przy wyjeździe z Jarocina można było już

zobaczyć nasz zakład. Wjechałem od razu na wagę, uchylając okno w samochodzie.

- No witam, żyjesz? Słyszałem, że od poniedziałku wracasz do pracy...

- Cześć, tak, w poniedziałek przychodzę, ale nie na cały dzień. Muszę jeszcze ściągnąć to - odpowiedziałem, pokazując gips na rękę.

- To w poniedziałek wpadnij do mnie na kawę... A zresztą... Napijesz się teraz? Pogadamy...

- Nie mogę, spieszę się... Wpuść mnie, mam trochę śmieci na kwaterę...

- Na kwaterę? Z domu ci nie odebrali? - zaśmiał się Adam.

- Niestety nie, a już nie mam gdzie tego trzymać. Miałem po drodze, więc wziąłem...

- No ok, jak musisz, to leć - uśmiechnął się Adam.

Pewnie pod wpływem nerwów nie przyszło mi to wcześniej do głowy. Chociaż wpadłem na to po tym, jak zaczęły działać tabletki. Zdziwiło mnie, jak potrafią mnie postawić na nogi. Przypuszczam, że jeszcze siedziałbym w lesie. Najlepszym dla mnie rozwiązaniem było wrzucenie ciała do kwatery naszego składowiska. Śmieci w niej przybywało w kolosalnym tempie, szybko więc pozbyłbym się jakichkolwiek dowodów. Miałem wiele szczęścia, że przyszło mi to do głowy przed zamknięciem zakładu. Gdybym nie zdążył, musiałbym poczekać do poniedziałku. Przypuszczam, że ciało zaczęłoby już wtedy śmierdzieć.

Wjechałem na kwaterę i podjechałem do jednego z dołków. Wsiadając z samochodu, pozbierałem jak najwięcej worków do przykrycia ciała. Większość tamtejszych śmieci pochodziła z gospodarstw domowych. Zwykle śmieci, które każdy wyrzuca do worków, a później do pojemnika. Otworzyłem bagażnik i wrzuciłem od razu ciało do dziury. Po ubiciu go nogami tak, aby śmieci dostosowały się do jego kształtu, dorzuciłem worki. Pierwsze pięć rozdarłem, aby śmieci zajęły całą pustą przestrzeń. Kolejne zacząłem wrzucać w całości. Nie mogłem sobie pozwolić na to, aby pracownik, który będzie ubijał w poniedziałek odpady, zauważył coś dziwnego. Nie wiem, ile mi to czasu zajęło. Skończyłem ukrywać ciało dopiero, gdy zauważyłem, że dołek zniknął. Wszystko starałem się robić jak najszybciej, aby wagowy nie zainteresował się, czemu jestem tu tak długo. Wsiadając do samochodu, spojrzałem jeszcze raz. Wszystko było w porządku. Gdy dojechałem do wagi, Adam ruszył w moją stronę. Spoglądając na przód samochodu, podszedł do drzwi. Uchyliłem szybę, zerkając na niego ze strachem.

- Załatwione? - zapytał dociekliwie.

- Tak, trochę tego miałem, żona chociaż przestanie mi z tym truć...

- To samochód Kornelii?

Zamilkłem na chwilę, spoglądając na kierownicę...

- Tak - odpowiedziałem po dłuższej ciszy.

W natłoku problemów zupełnie zapomniałem, że jeżdżę jej samochodem. Mogli mnie z nią połączyć...

- Uderzyłeś w coś? Masz zderzak rozwalony...
- Tak, wiem, Kornelia chciała, żebym zawiózł to znajomemu do naprawy. Sama nie miała czasu, na imprezę dziś poszła. Wiesz, jak jest...
- Aha... właśnie mówiła, że idzie. To już cię nie zatrzymuję, trzymaj się i do poniedziałku - powiedział, uśmiechając się.

Zamknąłem szybę i odetchnąłem z ulgą. - Udało się - pomyślałem. Nie tracąc czasu, wyjechałem z terenu. Adam był wygadany i gdybym stał tam dłużej, na pewno chciałby jeszcze porozmawiać. Wolałem nie ryzykować. Po opuszczeniu firmy od razu skierowałem się na moje osiedle. Może nie powinienem tam jechać samochodem Kornelii, ale byłem pewien, że na razie jestem bezpieczny. Za ewentualny dowód policja miałaby tylko rozwalony zderzak pożyczanego samochodu.

Pojechałem w „to” miejsce na osiedlu. Była już policja... Dwa radiowozy i pogotowie... sprawdzali okoliczności śmierci Kornelii. Jakies pięć metrów dalej stali mieszkańcy. Moją uwagę najbardziej przykuł sąsiad, który zresztą patrzył w moją stronę, gdy przejeżdżałem. Ten sam, który zainteresował się, gdy wyciągałem klucz do kół pod moim domem. Jakby wiedział, że to przeze mnie. Nie zatrzymywałem się i nie zwalniałem. Nie chciałem, aby ktokolwiek zwrócił na mnie uwagę. Mimo to właśnie ten sąsiad dokładnie patrzył na moją reakcję. Przejeżdżając obok, zaciskałem nerwowo żuchwę, przypominając sobie

wszystko. Nadal nie mogłem w to uwierzyć. – Dobrze, że nie zostałem – pomyślałem. Gdybym tam był, na pewno zrobiłbym coś nie tak. Nie miałem stalowych nerwów. Nie wytrzymałbym i prędzej czy później wybuchnąłbym płaczem. Miałem jedynie nadzieję, że sąsiad niczego nie podejrzewa.

Zaparkowałem na wjeździe do naszego domu. Położyłem głowę na kierownicy, zbierając resztkę myśli do kupy. – Pozostała mi jedynie rozmowa z żoną – pomyślałem, podnosząc głowę i patrząc w okno. – Na pewno nie była zadowolona, że zniknąłem. Nie wiedziała, dokąd pojechałem, co się ze mną dzieje... Nie miałem pojęcia, co jej powiedzieć... Mogłem mieć tylko nadzieję, że śpi...

Było ciemno, na wjeździe świeciła się jedynie lampa pokazująca drogę do drzwi. Musiałem jeszcze raz sprawdzić samochód, mogłem coś przeoczyć. Wsiadłem od niechcienia i poszedłem obejrzeć przód. Ze zderzakiem nie mogłem nic zrobić. I tak mi się udało, że tylko on był uszkodzony. Jeśli chodzi o bagażnik... z tym było znacznie gorzej. Krew była chyba wszędzie, ale nie mogłem się tym zająć, Amelia już patrzyła na mnie wrogim spojrzeniem przez okno. – Kurwa – powiedziałem jedynie, spuszczaając wzrok. Wsiadłem jeszcze na chwilę do samochodu, aby wziąć jedną tabletkę przeciwbólową, i poszedłem do domu jak na skazanie. Wszedłem nieśmiało, szykując się na krzyki Amelii. Kacper stał razem z mamą.

– Jeszcze nie śpicie? – zapytałem, próbując ich jakoś zagadać...

- Ja właśnie idę - odpowiedziała Amelia, zamykając rozmowę.

Może czekała na mnie tylko po to, żeby sprawdzić, czy nic mi nie jest. Nie zaczynałem nawet rozmowy, wiedziałem, że nie ma to sensu. Lepiej porozmawiać o tym następnego dnia. Amelia poszła, nie zwracając nawet uwagi na Kacpra, który stał wpatrzony we mnie z zawiedzioną miną.

- I tak cię kocham - powiedział Kacper, próbując podnieść mnie na duchu.

- Też cię kocham - odpowiedziałem, głaszcząc go po głowie. - Idź już spać, bo w tej piżamie się przeziębisz - dodałem.

- Tak, wiem... czekałem na ciebie, żeby ci to powiedzieć - oznajmił poważnym głosem.

- Dziękuję, jesteś kochany.

- Mogłeś ją uratować - wyszeptał mi do ucha. Ale nie martw się, dałeś z siebie wszystko - dodał, wręczając mi kolejny rysunek...

Uśmiechnął się i poszedł do swojego pokoju. Zostałem sam, zmęczony dniem, patrząc na kartkę, na której narysowany byłem ja! Stałem na kwaterze, przy bagażniku... Nie wiedziałem, czy Kacper chce mnie ostrzec, że ktoś już może wie, co zrobiłem, czy może chce mi w jakiś sposób pomóc. Wszystko wyglądało tak, jak pół godziny temu. Prawie wszystko... Na tle kwatery niebo było rozświetlone niebiesko-czerwonym światłem. Nie było wiadomo dlaczego, ale chyba Kacper dał mi do

zrozumienia, że coś mi poszło nie tak. Co, jeśli nie ukryłem ciała zbyt dobrze? Jeśli w poniedziałek śmieciarka nie zasypie tego miejsca następną dostawą śmieci, może je ktoś zobaczyć. – Kurwa, co zrobić! – pomyślałem. Zgniotłem kartkę w przypiływie nerwów i wbiegłem do pokoju Kacpra. Chłopak już spał. Spojrzałem na niego ze zdziwieniem. Przecież niedawno wszedł do pokoju, dopiero się położył... Złapałem go za ramię.

– Kacper... obudź się, proszę – szeptałem z nadzieją, że zdołam go jakoś ocucić.

Pomruczał trochę ze zmęczenia, po czym otworzył oczy.

– Dzień dobry, już do szkoły? – zapytał zdezorientowany, jakby spał cały dzień.

– Skąd o tym wiesz?

Pokazałem chłopakowi rysunek z nadzieją, że powie mi o wszystkim.

– Nie wiem, to nie moje – odpowiedział Kacper.

Zamilkłem przez chwilę, zastanawiając się, o co chodzi. Zapytałem Kacpra, co robił tego dnia. Spojrzał na mnie ze zdziwieniem, zdezorientowany moim pytaniem.

– Spałem pół dnia.

– Co?! Przecież... A te rysunki? Przecież ty wiesz...

– Tato, idź spać, ja też już pójdę – odpowiedział.

– Ty to narysowałeś, przyznaj się, sam mi to przyniosłeś...

– To nie moje, naprawdę...

Spuściłem głowę bez słowa i wyszedłem z jego pokoju. Zszedłem po schodach i usiadłem na kanapie, patrząc

w stronę drzwi wejściowych. Byłem pewien, że zaraz po mnie przyjadą. Wypatrywałem w oknie niebiesko-czerwonych świateł. To tylko kwestia czasu – pomyślałem, zaciskając żuchwę.

Jeden,

Dwa,

Trzy,

Cztery,

Pięć...

Nie mogłem uspokoić nerwów. Sięgnąłem do kieszeni i wyciągnąłem kolejne tabletki. Jedna wystarczy – pomyślałem. Łyknąłem ją, patrząc na gips na rękę... Wtedy usłyszałem tupot małych stóp, kierujących się w moją stronę.

- Kacper! - zawołałem donośnym głosem.

- Tato... - powiedział z kamiennym wyrazem twarzy. - Idź spać, siedzenie tutaj nic ci nie da...

- Skąd o tym wiesz?

- Nie pytaj, nie chcesz wiedzieć.

- Muszę - powiedziałem ze łzami w oczach.

- Wszystko zaczęło się rok temu. Ty to zaczęłeś...

- Ja? Jak piłem?

- Tak... - powiedział, odwracając się - ale ty tego nie zrozumiesz.

- Co się wtedy stało? Powiedz, muszę wiedzieć... To jest związane z twoimi rysunkami?

- A co myślałeś? Wszystko jest ze sobą powiązane. Wizje, ty, ja. Rysunki miały ci pomóc. Szkoda tylko, że nie

dałeś sobie pomóc. Wszystko się ułoży, teraz musisz w to wierzyć.

- Czekaj! - krzyknąłem w stronę odchodzącego już Kacpra.

- Nie jestem Kacper, powinieneś już to wiedzieć - wyrzucił, idąc dalej po schodach na górę. - Będziesz smażył się w piekle.

- Kacper! - krzyknąłem, próbując go jakoś zatrzymać.

Nie zatrzymał się. Wszedł na górę bez słowa. Nie miałem pojęcia, co się wtedy wydarzyło. Byłem pewien, że wszystko pamiętam z tego etapu mojego życia. Kiedy Kacper zniknął na piętrze, salon wypełniły ostre światła spod mojego domu. Światła, które przedostawały się przez okno, oświetlając cały salon na niebiesko. Zacisnąłem zuchwę, zastanawiając się, co mnie czeka. Patrzyłem na drzwi i czekałem. Czekałem, kiedy usłyszę dzwonek. Kiedy wtargną i zabiorą mnie siłą. Wiedziałem tylko jedno, że nie wiem nic. Kto był przed drzwiami?

Po rozmowie z Kacprem nie byłem pewien już niczego. Ktoś wie o morderstwie? Policja? Siły wyższe?

To przez tabletki czy prawdziwe wizje? Za chwilę miało się wszystko wyjaśnić.

Puk, puk - rozległo się walenie do drzwi.

REDAKCJA: Beata Majewska

KOREKTA: Monika Pruska

OKŁADKA: Magdalena Zawadzka

ZDJĘCIE NA OKŁADCE: © Lithiumphoto | Dreamstime.com

KONWERSJA DO EPUB/MOBI: InkPad.pl

© Dawid Waszak i Novae Res s.c. 2015

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-7942-786-4

NOVAE RES - WYDAWNICTWO INNOWACYJNE

al. Zwycięstwa 96/98, 81-451 Gdynia

tel.: 58 698 21 61, e-mail: sekretariat@novaeres.pl, <http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej zaczytani.pl.

Wydawnictwo Novae Res jest partnerem

Pomorskiego Parku Naukowo-Technologicznego w Gdyni.

